



ROK LVIII

NR 29

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 18 LIPCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Pod rozwałę—K. S. Działaczki okresu konspiracyjnego (c. d.)—*Helena Ceysingerówna*. Dwie egzotyczne książki kobiece—*Dr. M. Kastarska*. Świat kobiecy (część II) c. d.—*Marja Grossek-Korycka*. Wiersze—*Chr. Rossetti*. Tydzień w Lubelskiem c. d.—*Marja Dąbrowska*. Dwadzieścia pięć—jedenaście (romans) c. d.—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Noc świętojańska Szymka—*Władysława Jankowska*. Piękna Pamela c. d.—*K. Białańska*. Refleksje na czasie—*Z. Zawiszonka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Jacek Malczewski*—*N. Samoty-bowa*. Z teatrów—p. Dział praktyczny: Mody i roboty. Eleganckie fartuszki. Suknie barwne i kwieciste—*Hrabina Fannie*. Moda na scenie—*W. Z.* Artystyczne wyroby ze skóry. Rozmowa—*W.* Wpływ spulchniania powierzchni ziemi—*Sten. Sclönfeld*. Symfonja domowa—*J. S.* Konkurs na zdobienie balkonów—*Estes*. Oliwa—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy (dok.)—*Beatrix Harraden*. TABLICA KROJÓW.

POD ROZWAGĘ



d szeregu lat z roku na rok pogarsza się wynik ocen rocznych, nie zmniejsza się bynajmniej procent uczniów, nie przechodzących z klasy do klasy, i rośnie troska rodziców i szkoły: co z tym fantem zrobić? Zjawisko to wykracza poza granice kłopotów tyl-

ko prywatnych i staje się ważnem zagadnieniem publicznem.

Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy?

Jest ich dużo. Sprawy te poruszano niejednokrotnie w „Bluszczu”.

Chodzi o to, jak złemu zaradzić.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ambicją rodziców jest dać dzieciom możliwie najlepsze wykształcenie. Dziś zwłaszcza, kiedy skala wymagań kwalifikacyjnych w każdej dziedzinie pracy ogromnie się podniosła, jest wprost obowiązkiem rodziców do tych zmienionych warunków życiowych dzieci odpowiednio przygotować. Średnie wykształcenie stało się dziś tem minimum, bez którego trudno znaleźć jakieś mniej więcej przyzwoite t. zw. „stanowisko” i wytrzymać konkurencję w walce o byt. Z tem się liczyć muszą wychowawcy, dbali o los i przyszłe powodzenie nie tylko swoich wychowanków, ale całego społeczeństwa. Ale tu zaczyna się całe nieporozumienie.

Większość rodziców uważa, że średnie wykształcenie to jest wyłącznie gimnazjum i matura gimnazjalna. I bez względu na to, czy chłopak lub dziewczyna mają odpowiednie zdolności, bez względu nawet na przyszłe plany pcha się par force młodzież do gimnazjów.

Otóż gimnazjum nosi wprawdzie oficjalną nazwę szkoły ogólnie kształcącej, de facto jednak jest szkołą specjalną, przygotowującą wyłącznie do wyższych studjów. Określenie: ogólnie kształcąca znaczy tu to samo, co teoretycznie kształcąca. A zatem tylko dla tej wybranej młodzieży, która ma potrzebne zdolności i której celem jest poświęcenie się wyższym studjom, nauka gimnazjalna jest wskazana i celowa. W innych wypadkach prowadzi do wyników wprost ujemnych, nie dając młodzieży żadnego praktycznego przygotowania do życia. Jest więc bezcelowem marnowaniem czasu, sił i środków.

W ostatnich czasach powstało nawet bardzo ciekawe „qui pro quo”. Ponieważ rodzice ze sfer inteligentnych prędzej zorientowali się w tem, że typ szkoły trzeba stosować do uzdolnień dziecka i do jego potrzeb życiowych, większy procent dzieci z tych sfer odpływa do rozmaitych szkół średnich fachowych, podczas gdy w gimnazjach wzrasta właśnie procent młodzieży ze sfer nieinteligentnych. Zjawisko specjalnie często spotykane w Małopolsce.

Nie trzeba chyba szeroko udawadniać, że taki stan rzeczy jest zgubny dla poszczególnych jednostek i zgubny dla całego narodu. Tajemnica powodzenia zarówno poszczególnych ludzi, jak i całych narodów leży w tem, aby każdy był na swoim miejscu, aby pracował w swojej dziedzinie i aby do tej pracy był możliwie najlepiej przygotowany.

Jakiż los czeka w życiu tych wszystkich repetentów, „poprawkarzy“, tych przepychanych z klasy do klasy, niedoksztalconych — mimo papierowych patentów — uczniów gimnazjum? Jaki będzie z nich pożytek? Do studjów wyższych się nie nadają, a do praktycznej gałęzi pracy nie zostali przysposobieni!

Wszystko wskazuje na to, że formy życia społecznego uległy gruntownemu przeobrażeniu. Niedawne ideały kariery, której najwyższym wyrazem były stanowiska: adwokata, bankowca, urzędnika, mocno się przeżyły. Żyjemy w czasach, w których największe powodzenie zapewnia praca twórcza: techniczna i przemysłowa.

Trzeba, aby szeroki ogół nareszcie zrozumiał, że być dzielnym stolarzem czy ślusarzem jest równie zaszczytnem, jak być dobrym adwokatem lub lekarzem — pod warunkiem jedynie, że ten stolarz czy ślusarz będzie miał odpowiedni stopień kultury ogólnej i odpowiednie wykształcenie fachowe. I trzeba, aby ci, którzy w teorii prawdę tę uznają, także w praktyce, gdy chodzi o ich własne dzieci, do tego się stosowali.

Mam wrażenie, że tzw. czynniki miarodajne, a więc w pierwszym rzędzie Min. W. R. i O. P. w ostatnich czasach bardzo wyraźnie przechyla się w kierunku tych właśnie zapastrywań i wyraźnie idzie w kierunku systemu szkolnego o praktycznej, celowej i zdecydowanej fizjognomji. Zamierzona reforma zdąża do tego, aby z jednej strony zredukować zbyt wielką ilość odmian szkoły średniej ogólnokształcącej i wytworzyć mniej więcej jednolity typ

szkoły średniej, przygotowującej do wyższych studjów. Z drugiej strony chodzi o zmniejszenie ilości gimnazjów wogóle. Na ich miejsce muszą być wprowadzone dla szerokiego ogółu młodzieży rozmaite typy szkół średnich zawodowych.

Projektom tym można tylko przyklasnąć.

Nie brak także dowodów, że światlejsze warstwy naszego społeczeństwa rozumieją dobrze potrzebę takich reform. Powstające z inicjatywy prywatnej, szkoły takie, jak niedawno ogłoszona (od 1-go września b. r. szkoła Kupiecka w Krakowie*) — świadczą o tem niezbicie.

Chodzi tylko o to, aby sfery zainteresowane chciały zrozumieć korzyści takich szkół i aby zamiast pchać młodzież bez wyboru do gimnazjów, kierowały ją stosownie do wrodzonych zdolności, zamiłowania i warunków życiowych do szkół fachowych.

Przerwa wakacyjna jest zawsze momentem zastanowienia i rozwagi, czy obrany kierunek wychowawczy, czy obrany typ szkoły jest odpowiedni dla danego dziecka. Rodzice, których dzieci przyniosły świadectwa niedostateczne, a choćby tylko bardzo słabe, powinni dobrze zastanowić się nad tem, czy nie należałoby w interesie dziecka, dla jego zdrowia fizycznego i moralnego, dla jego pomysłnej przyszłości zmienić kierunku nauki.

Lepiej zawsze — choćby późno — nawrócić ze złe obranej drogi, niż skazywać dzieci na długoletnie bezowocne utrapienia — bez widoków dobrego rezultatu dla nich samych i dla całego społeczeństwa. Najwyższą ambicją i największą mądrością rodziców jest dbać o to — nie czem, ale jakim człowiekiem będzie ich dziecko.

K. S.

*) Na czele komitetu organiz. stoi prof. Uniw. Jag. Dr. W. Sobieski. Program świetny. Zgłoszenia: Kraków ul. Smoleńska 19. Wymagania 3 kl. gim. lub przygotowanie równoważne.

DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO



szkoły tajne funkcjonowały w mieszkaniach prywatnych, przeważnie w mieszkaniach robotniczych. Komplet szkolny liczył powyżej 20-ro dzieci.

Nauka w kompletach niższego stopnia trwała 2 godziny, w wyższych — 3 do 4-ch. Za każdy komplet szkolny płacono właścicielowi mieszkania 4 rb. miesięcznie. Leżało więc do pewnego stopnia w interesie właściciela mieszkania, by miał 3,

nawet 4 komplety. Tym sposobem bowiem zwracał mu się czynsz mieszkaniowy.

Nauczycielki otrzymywały bardzo skromną zapłatę: 10 do 12 rb. miesięcznie za jeden komplet szkolny niższego stopnia. Za komplet wyższego stopnia płacono po 15 rb. Niektóre nauczycielki miewały po 3, nawet 4 komplety i przy ówczesnych cenach mogły jako tako utrzymać się z tego zarobku. Pewien niewielki zresztą, procent nauczycielek nie pobierał żadnej zapłaty. Później, gdy organizacja już

rozrosła się, zaprowadzono urząd inspektorek, których zadaniem było zwiedzać tajne szkoły, bywać na lekcjach, udzielać wskazówek początkującym nauczycielkom, czuwać nad bezpieczeństwem szkółek w powierzonej sobie dzielnicy i t. d. Inspektorek było 4 i otrzymywały po 40 rb. miesięcznie.

O każdym zajściu z policją wszyscy członkowie organizacji, a więc dzieci, rodzice ich, właściciele mieszkań, nauczycielki, kontrolerki obowiązane były natychmiast zawiadamiać centralę, która przedsię-

brała odpowiednie środki ostrożności i odpowiednio reagowała, albo przenosząc szkołę w inne miejsce, albo wchodząc w łapówkowy kompromis z obrażonym przedstawicielem władzy i t. p.

Bez telefonów, których nie było jeszcze i których zresztą nie można byłoby do celów tych używać, wiadano na Chmielnej z dziwnym pośpiechem i dokładnością o wszystkim, co działo się na całym mieście.

Mimo wszystkich tych ostrożności, praca ta nie dałaby się ukryć tak długo, gdyby nie powszechna sympatja, jaką ludność Warszawy otaczała akcję oświatową.

Mówiąc językiem handlowym, zapotrzebowanie na oświatę było w Warszawie tak wielkie, że na Chmielnej literalnie drzwi się nie zamykały. Pełno wciąż petentów: rodziców, dzieci, opiekunów! Kto tylko zdołał dowiedzieć się o tajemniczej krynicy alfabetu i innych mądrości szkolnych, ten śpieszył z błaganiami o przyjęcie dzieci do szkoły. Używano nieraz podstępów, by zdobyć upragniony adres.

To też liczba dzieci w roku następnym już się zdwoiła, a w trzecim roku działalności p. Śniegockiej doszła już do tysiąca. Potem, rosnąc z roku na rok, dosięgła w r. 1905 i 6-ym poważnej cyfry 2 tysięcy dzieci. Ilość to była istotnie znaczna, gdy się zważy, że w szkołach oficjalnych ludowych miała

Warszawa w owe czasy około 4 tysięcy dzieci.

Stanowiła więc tajna szkoła zupełnie poważne współzawodnictwo dla szkoły rosyjskiej. Twierdzenie to wyda się tem słuszniejsze, gdy zaznaczymy, że akcja p. Śniegockiej, jakkolwiek prowadzona na najszerzą skalę, nie była jednak jedyną. Były w Warszawie kółka mniejsze, prowadzące tę samą robotę, były osoby poszczególne, które, czy to ze względów ideowych, czy wprost dla zarobku chwyciły się potajemnego nauczania, przeważnie przyjmując program, przez największą z instytucji oświatowych ustalony.

Program ten, opracowany przez najlepsze siły nauczycielskie z Koła Kobiet, dzielił szkołę tajną na 4 oddziały. Przy końcu roku urządzano egzaminy i przeprowadzano dzieci na wyższe stopnie nauczania. Dotąd, przypominając tę akcję, podziwiam, z jaką systematycznością i dokładnością prowadzona była, mimo niesprzyjających warunków: ciasnoty mieszkań, tajności i ciągłego braku pieniędzy. Wykładano w szkołach tajnych: religję, język polski, historję Polski, geografję, arytmetykę, przyro-

dę. Na język rosyjski, jako potrzebny w życiu codziennem, przeznaczano od oddziału II-go jedną godzinę w tygodniu.

Rezultaty pod każdym względem były zadziwiające. Duch patriotyczny, podnoszenie się poziomu kultury, nawet dobrobytu rodzin, wciągniętych w sieć tajnej oświaty, uderzały na każdym kroku. Bywały wypadki, że ojciec alkoholik, wzruszony postęпами syna w nauce, jego aspiracjami do uniwersytetu, przestawał pić, a odkładał pieniądze na dalsze kształcenie dziecka.

Uczniowie tajnych szkół istotnie dostawali się często do gimnazjów i uniwersytetów, dziewczynki kończyły średnie zakłady naukowe, szkoły ochroniarek, seminarja... Pomagała im w tej karierze życiowej tajna organizacja...

Wspomniałam o pieniądzach. Brak ich był właściwie jedyną tamą, która nie pozwalała ogarnąć tajemnym nauczaniem wszystkich dzieci warszawskich. Wydatki całoroczne wynosiły przy końcu 6 tysięcy rubli. Te pieniądze trzeba było zdobyć. I zdobywano je. Drobną część (po 50 kop. miesięcznie) wpłacały dzieci. Pewna stała suma wpływała ze składek członkiń i członków Tajnego Nauczania, resztę trzeba było wytańczyć, wyrautować...

Niestrudzona energia kierowniczkich wystarczała na wszystko.

(c. d. n.)

Helena Ceysingerówna



DWIE EGZOTYCZNE KSIĄŻKI KOBIECE

Rumuńska księżna Bibescu wydała ponownie swą książkę „Ośm rajów”, a panna Kiku Jamata, uroczą młodą Japonką, bardzo europejską zresztą z wyglądu, wydała swój pierwszy romans, wielce chwalebny przez prasę paryską, „Masoko”.

„Ośm rajów” to poetyczny opis Persji i Turcji, zachwycający świeżością wrażeń i barw. Przed oczyma czytelnika wykwitają doliny róż Ipahanu, majaczą ciemne rzędy cyprysów na cmentarzach tureckich i wstają, niby miraże dalekie, cudne stare legendy Wschodu. Księżna Bibescu posiada sztukę wybierania ślicznych obrazków życia perskiego w zapyłonych księgach dawnych poetów. Oto n. p. wyjątki z dzieł wielkiego Saadi, o którym uczony Mirza Gul-Afchan

powiada: „Wyrósł ponad serca ludzi, jak cyprys ponad ogrodem”.

Saadi mówi: „Dziecię, miłość jest jak ogień, rada—jak wiatr”. Dalej zaś: „Nie dasz serca swego kochance tysiąca ludzi, a jeśliś to uczynił, skazałbyś serce twe na wieczną samotność”.

Niepodobna w tem miejscu nie zacytować dowcipnej i uroczej legenty o poecie Medżun’ie i jego kochance, Leili.

„Pewnemu królowi arabskiemu opowiedziano historję Leili i Medżun’a i smutnego losu poety, który, mimo swych zasług i swego krasomówstwa, żył w stepie i wypuścił z rąk cugle swej woli.

¹⁾ Aluzja do interpretacji arabskiej opowieści o Józefie i żonie Putyfara.

„Król rozkazał, aby mu przeprowadzono Medżun’a i zaczął od czynienia mu wyrzutów, mówiąc:

„Jakieś wady okropne dostrzegłeś w szlachetności duszy ludzkiej, abyś przestał żyć, jako ludzie, i przyjął obyczaje zwierząt?”

„Medżun zaczął się skarżyć i rzekł:

„Iluz szczęśnych przyjaciół wyrzucało miłość moją dla niej! Ah, czemuż nie widzieli jej nigdy. Wystarczyłoby to, by mnie uniewinnić. Dałby Bóg, aby ci, którzy mnie ganili, ujrzeli twe lica, o, piękności, wiążąca serca, aby, patrząc na ciebie, pocięli ręce własne zamiast pomarańcz, nie widząc, co czynią”¹⁾.

„Król zapragnął wówczas zobaczyć piękną Leilę, aby poznać kobietę, która sprawiła tak wielkie spustoszenie.

„Wydał więc rozkazy, i szukano we wszystkich plemieniach arabskich, biegano wszędzie, aż wreszcie odnaleziono Leilę i pokazano ją królowi na dziedzińcu pałacu królewskiego.

Monarcha popatrzył na nią i ujrzał kobietę o ciemnej cerze, wiotką i chudą. Wydała mu się godną pogardy, bo każda z kobiet jego haremu piękniejszą była od niej z postawy i z ubioru.

Mądry Medżun odgadł myśli króla i rzekł: „O, monarcho—trzeba patrzeć na piękność Leili przez okno oka Medżun'a, aby tajemnica jej widoku była ci objawiona”!

Trudno o piękniejszy symbol miłości.

Turcja, opisywana przez księżnę Bibescu, jest jeszcze krajem sułtanów, haremów i tajemniczych pałaców, krajem, który niegdyś znalazł tylu gorących wielbicieli we Francji, jak Piotr Loti, Claude Farrère, a jeśli sięgniemy dalej, to i Racine i Viktor Hugo i inni.

Od książki księżny Bibescu bije zapach dyskretny, zagadkowy kwiatów Wschodu, zasuszonych między zwojami pergaminu, które nasiąkły ich wonią.

Masoko panny Kiku Jamata jest to młodzianka Japonka, bardzo dobrze wychowana. Umie układać bukiety, zna doskonale etykiety

i tańce japońskie, posiada wszystkie cnoty, obowiązkowe dla japońskiej młodej panny na wydaniu. Piękna panna kocha swego narzeczonego, pięknego Nayoshi, z którym ma się wkrótce połączyć z woli rodziny. Niestety! dwie stare ciotki, czuwające naksztalt smoków Wschodu — nawiasem mówiąc bardzo ciekawych smoków — złapały młodą parę na gorącym uczynku: piękny Nayoshi ośmielił się pocałować uroczą Masoko.

Nazajutrz stary wuj oznajmia młodej dziewczynie, że małżeństwo jej z Nayoshi jest, zdaniem starych ciotek, niemożliwe, gdyż narzeczeni kochają się z nadto. Ciotki Masoko są, jak widzimy, bardzo przewidywającymi osobami i może mają trochę racji, bo w częstych wypadkach zakochane pary narzeczonych są najmniej zakochanymi parami małżonków, gdyż miłość czyni ludzi bardzo wymagającymi względem przedmiotu ukochania. Ale w romansach mają zawsze rację zakochani.

Masoko, jak przystało na młodą pannę japońską, dobrze wychowaną, spuszcza skromnie oczy i nawet nie płacze, gdyż mądrość etykiety Japonii zabrania kobiecie okazywania smutku w sposób, mogący ją oszpecić. To przypomina zresztą teorię pewnej powieściopisarki francuskiej naszych dni, ra-

dzącej kobietom, które chcą zrobić scenę mężowi, aby wyglądały wtedy jaknajładniej.

Ale etykieta japońska, obezwładniając kobietę, pozwala działać mężczyźnie, z czego korzysta piękny Nayoshi i po długich zabiegach, prośbach, pogrózkach, zwycięża wszystkie przeszkody i zaślubia ukochaną Masoko. Wbrew przewidywaniom japońskich ciotek, panna Kiku Jamata każe nam wierzyć, że będą szczęśliwi. Może jednak później autorka napisze ciąg dalszy swej powieści.

Książka panny Kiku Jamata, pisana stylem lekkim i wdzięcznym, daje ciekawy obraz życia japońskiego i, mimo wykintnej elegancji, obfituje w opisy barwne i mocne. Autorka chciała nas zbliżyć w niej do swego kraju i jego obyczajów, otworzyć przed nami wrota wiśniowego sadu mousmé i pani Chryzantemy. Udało jej się to wcale nieźle, bo oto książka, bardzo japońska, dostępna jednak i zrozumiała dla każdego Europejczyka.

Panna Kiku Jamata jest również tłumaczką sporej ilości pisarzy europejskich na język japoński oraz zbioru tłumaczeń japońskich na język francuski, zatytułowanego: „Na ustach Japonii”, a poprzedzonego przedmową jednego z najznakomitszych poetów francuskich, Pawła Valéry.

Dr. M. Kasterska.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

ŚWIEKRA I SYNOWA

(Współczesne)

8

Odpadły zielone pokrywy, przed jej oczami rozwinęła się jasna, radosna prawda: to dziecko to był jej najbliższy i najwyższy przyjaciel — to była najpodobniejsza do niej istota, to była dusza, w której powtórzyła się jej dusza, jak w zwierciadle, z całą swoją strukturą moralną i umysłową. Dla tego było im ze sobą żyć tak łatwo i słodko. Od tego wieczora węzeł pomiędzy nimi zacisnął się ze szczelnością dramatyczną.

Zaczęła się cudowna Idylla Matki z Synem — a trwała długo, długo, lat ze siedemnaście...

Pani Michalina coraz rzadziej czytywała — gasła w niej pasja bezinteresownego wszystko wiedzenia. Coraz mniej i rzadziej zbierali

się przyjaciele, w coraz mniejszym kółku — stawali się zbyteczni — w końcu już nie przychodził nikt. Całą przestrzeń duszy, cały horyzont życia zajął i wypełnił sobą Syn.

Rozpędził się, jak zwykle, prosto do pokoju matki, rozbierając się po drodze — ale u drzwi stanął — ręka, podniesiona do klamki, opa dla... Szedł przecież zadawać jej cios!... Jak on jej to powie? „Mamo, najalem dla ciebie mieszkanie, musisz ustąpić z domu, nim tutaj zjedzie moja żona”.

Jak jej to powie on — jednak, ukochany nad życie, oprócz którego ta kobieta nie miała nic i ni-

kogo na świecie.. Jak jej to powiedzieć?!!!...

A jednak powiódział.

Pierś wydała ten głuchy jęk, jaki wydaje trumna, uderzona pierwszą twardą pecyną... W jednej chwili twarz jeszcze piękna twarz dużo młodsza od swoich lat pięćdziesięciu kilku, osunęła się, zgrzybiała...

I jego męskie, piękne rysy wykręciła okropna tortura — padli sobie w objęcia, płacząc.

Całą noc spędził przy łóżku matki: w takim była stanie. Sam biegał do apteki, sam przyrządzał lekarstwa, na głowę kładł kompresy, rozgrzewał nogi i przemawiał najtkliwszymi słowami. Ale oczy zbolale biegały tylko po jego twa-

rzy pytając, wyczekując: czy nie odwoła?...—to jedno mogło być uleczyć w jednej chwili!.. Ale on nie odwołał — ach, bo nie mógł! Rodzice panny postawili mu ten warunek — inaczej mu jej nie dadzą — a on tak za nią szalał!

Michalina Sielicka to była kobieta mocna. Gdy świt wiosenny zaczął bielić szyby, opanowała się nagle i uciszyła... Syna wyprowadziła na spacer — „Cóż on temu winien, biedne moje dziecko! — to ona z domu mię wypędza. Jakież to serce ma ta młoda dziewczyna? I z wypiekami na policzkach, z żywością gorączkowego podniecenia zaczęła się pakować już o świcie. „Wszelkie takie operacje — mówiła sama do siebie — trzeba robić od ręki — to się je przeżywa tylko raz — inaczej, przeżywa się je niezliczone razy, w wyobraźni”. Szły do kufrów rzeczy, nie ruszane od dziesięciu lat!.. Z olbrzymiej dębowej szafy wyłoniła się na światło dzienne z najgłębszego kąta suknia staromodna. „W tej sukni przed trzydziestu laty, to było w dzień św. Józefa, poznaliśmy się z Henrykiem”. Drżąca ręka sięgnęła po hebanową szkatułkę — w niej spoczywał ślubny welon, pończotki, z gałązką pomarańczową. Gdy zmierzł zapadał pakowanie zostało ukończone. W obszernym mieszkaniu nikogo nie było. Po raz ostatni wystrojona, jak na pożegnalną wizytę, przechadzała się z wolna solennie po tych pokojach ostatni raz, jeszcze jako domu tego pani. Jakimż to prawem przestaje on być jej? Ten dom był założony niegdyś przez niego dla nich obojga i ich dzieci... O, ten przyjaciel jedyny, niezastąpiony, który odszedł od niej na wieki, tak prędko! „Henryku!” zawołała głośno, wyciągając ręce do portretu... Syn męża nie zastępuje — Syn dziedziczy po ojcu, a w jego prawa wchodzi ona, ta, którą syn poślubi. Wszystkie te rzeczy, które odwieczne uważała za swoje, jej być przestają — odbierać ich przecież Waciovi nie będzie!.. Ta chińska waza, którą ongi, ongi... otworzył ze snu oczy, ujrzała przy swoim łóżku, jak jeden z zaklętych kameli, pierwszy podarunek od męża na gwiazdkę. Śpiewny Blüthner: ślubny prezent ojca. Otworzyła kłapę — w salonie było prawe i widno od bijącej w okna światła elektrycznej latarni z ulicy — wzięła parę passaży, wyrwanych z Szopena, tak jak się wywołuje głos znajomy, iżby nam powiedział: „żegnaj”. I ten wielki gobelin, który kupowali razem w Wenecji, tacy szczer-

śliwi!.. Przykładała do twarzy chłodne liście Latanji, roztwarte, jak dłonie błogosławiące. Czy jej dziekowały za wieloletnie starania?! To wszystko teraz będzie własnością tamtej. Ona tu będzie władać i rozkazywać. Zmieni odwieczny szyk mebli i ład domowego obrządku. Idąc, prowadziła ręką po politurach krzeseł i stołów i po oparciach aksamitnych — tak, jak się głaszczę rękę kochaną przy rozstaniu.

„Bardzo mi! bardzo sympatyczne mieszkanie!” pocieszała zgnębionego Syna, siłąc się na uśmiech do niego. Tak doskonale odegrała rolę pogodnej, pogodzonej z losem, że aż odetchnęła z głębi piersi, wychodząc, jakby mu się z nich stoczył wielki ciężar. Ale kiedy drzwi się za nią zamknęły, kopnęła nogą fotelik, który stał na drodze, i chwyciwszy się oburącz za głowę, padła na wznak na łóżko z rozdzierającym krzykiem: „Bże ty mój!.. Boże mój, miłosierny! — coż ja tu będę robiła po całych dniach, miesiącach i latach?!!! sama jedna?... przyniosą mi jeść... upiora... obsłużą... jak temu, któremu już nic się od życia nie należy: tylko czekać śmierci — który już umarł śmiercią cywilną istot niepotrzebnych. Przecież ja tylko tem żyłam: „czego w tej chwili Waciovi potrzeba?” — kiedy powróci — co będzie jadł? — jakie mu przygotować ubranie? — czy dobrze dziś wygląda? — czy w weso-

łym humorze powrócił? — Wacio.. Wacio... nic, tylko Wacio! Teraz będzie to wszystko należeć do niej! a choć może to będzie wykonywane nie tak umiejętnie, wnikliwie i akuratanie, jak przez matkę, która go znała jeszcze przed życiem, jej tylko usługi będą mu miłe — matczyne nie potrzebne”.

„Czem żyć?” zawołała znów głośno, zrywając się na równe nogi — „o co zaczepić serce?”

Serce to waliło młotem — a w odpowiedzi mu odzywał się równy gang zegaru. I tak już będzie od tamtąd zawsze... w ciszy i samotności pustego mieszkania razem z tem biednem sercem bić będzie w akord już tylko to stalowe serce maszyny.

Zaledwie siódma godzina była nazajutrz rano na wieży Bernardyńskiej, już pani starsza przez kuchnię przyszła do dzieci. Młodzi nie dawali jeszcze znaku życia w dalekiej sypialni. Jej powróciła odrobina humoru i spokoju, gdy się zajęła przygotowaniem do śniadania kawy i herbaty; przecież synowa będzie jej niewątpliwie wdzięczna za wyręczenie?

A synowa nie mogła ukryć niehumoru na widok tak ранego gościa — „wyręczenie” zaśwapało ją we wściekłość. Ją bawiła nowa rola gospodyni domu. Aby o'śnić męża, przywiozła z sobą specjalne ku temu przyrządy i przyłory najnowszych systemów i fasonów ze srebra, z niklu i porcelany, specjalną bieliznę stołową i specjalny szlafrok, składający się z czterech wąziutkich szalików, szczepionych u szyi i w pasie. Na widok pokrzyżowanych płomieni jej przeleciał po twarzy... ale to była osoba, wychowana przez angielski, znakomicie opanowana, nie „prze朱元a”, broń Boże! — rzekła więc tylko lodowatym głosem z lodowatym spojrzeniem: „Bardzo dziękuję! ale nadal proszę się u mnie nigdy niczem nie facygować! — od tego jest służba, która się takim postępowaniem psuje — i ja tutaj jestem — po co się to zrywać tak rano!.. Starsze osoby powinny ogromnie się szanować i zażywać pełnego wypoczynku”. — „Najlepiej by je było żywcem zakopywać” miała już na języku... ale nie powiedziała. — Syn rzucał na nią takie błagalne spojrzenia... Stłumiła więc wszystko w sobie i zasiała do stołu z twarzą pogodną, wytrzymując spokojnie jeszcze i to naigrawanie się nad nią losu, gdy ją w tym odwiecznym własnym jej domu zapraszała miłościwie do jedzenia przy jej własnym stole ta obca, niedawno tutaj przybyła „smarkata”.

(c. d. n.)

CHR. ROSSETTI

URODZINY

Me serce, jako śpiewny ptak,
Co żył w zarośniętym gniazdo swe;
Me serce, jak jabłoni krzew,
Co bujnym się owocem gnie;
Me serce, jako muszla z tęcz,
Co w cichym szumie morza gra;
Szczęśliwsze od tych serce mam,
Bo przyszła do mnie miłość ma.

Jedwabie, puchy łóżem wznies,
Purpurą osłoni, rzeźbą ściel
Gołębie, pawie z sełką ocz,
Granaty, srebrna lilji biel;
Misterny niech listowia szlak
Winograd swą złotością tką:
Bo dzień urodzin moich wstał,
Bo przyszła do mnie miłość ma.

łom. Z. REUTT-WITKOWSKA,

MARJA DĄBROWSKA

2

TYDZIEŃ W LUBELSKIM

POPOŁUŻNIE WE FRAMPOLU.

Wszystkie domki Frampola są niebieskie, oprócz tego, przed którymi zajęchaliśmy. Ten jest brązowy — rosną koło niego włoskie orzechy i piwonie w małym szczytowym ogródeczku. Oczekiwano nas przy furtce tego ogródeczka, i zaraz zaczęliśmy jeść obiad. Na obiad było kwaśne mleko i kura. Mieszkamy w dwóch izbach belkowanych — ja mam swoją izbę, Wanda swoją. W mojej izbie jest piec taki, jaki znamy z rosyjskiej literatury, taki, na którym można spać. Teraz leżą na nim od brzegu książki i stoją nasze przybory toaletowe — co się dzieje dalej, nie wiadomo.

Po obiedzie poszliśmy się prześpać „po podróży” — obudziły nas muchy i deszcz, który szeleścił spokojnie za otwartymi oknami. Zaczęliśmy wyglądać.

Gont na dachach lśnił płową gładkością, jak tafta. Przed oknem widać było krzepki płot z poprzecznych desek, bardzo wysoki i również okryty daszkiem. Płot oddziela sąsiednią „posesję”. Tuż za nim stoją czereśnie i włoskie orzechy. Nieco dalej widać siwe dachy, przyściennione od deszczu, o ładnych wygięciach i spadach. Wszystko w pienistej zieleni.

— To wygląda, jak zagroda ze Starej Baśni — mówię.

Brat Wandy poinformował nas, że Frampol istnieje dopiero dwieście lat.

To nic nie szkodzi. Dwieście lat temu wsie budowały się jeszcze tak prawie, jak za Piastów.

Około piątej deszcz przestał padać. Wyszliśmy, żeby zobaczyć, jak jest wszędzie.

Ulica, na której mieszkamy, nazywa się Butlerowska od Franciszka Butlera, założyciela tej osady.

Wszystkie ulice są do siebie podobne: są piaszczyste, niewybrukowane i wygrodzone płotami.

Za płotem domki, barwione lakmusem — od błado sinych do szafirowych, stoją do ulicy to szczytem, to znów frontem. Ogródki wszystkie bez wyjątku zarośnięte piwonją i cesarską koroną. Oprócz tego przed każdym domem czereśnie i orzechy. Orzechy są bogactwem Frampola.

— Jak kto ma ze trzy drzewa — a jeszcze, żeby urodziły — to się niema o co trapić — mówią tutejsi ludzie.

Orzechy i płótno. Kiedy deszcz przestał kołatać, słysząc dalej, jak pukają tkackie czółenka.

W domach pukają czółenka, a na ulicy skrzypią zórawie.

Każda ulica ma swoją studnię z niebotycznym zórawiem, który ziewa i stęka. Nasza studnia ma dziesięć metrów głębokości i konew pięknego kształtu, obitą żelazem. Wanda nabrała nią wody — ja nie mogłam objąć drąga ale jak jeszcze raz tam kiedy pojedę, to nabiorę — choćby to miało nieprędko nastąpić. Spodziewam się, że studnia ta jeszcze będzie — gdyż cywilizacja prędzej, sądę, dojdzie do Sachary, niż do Frampola.

Studnie są tu — jak w czasach Pisma Świętego, miejscem spotkania ludzi, wymiany zdań, wypowiedzenia się opinii, tudzież zawierania znajomości — są jednym słowem rodzajem klubów społeczno-towarzystwowych. Gdy ludzie składają przy nich nosidła i stawiają naczynia, gdy konie parszają u koryta — głosy te wzmacnia rezonans głębi, nadając mu brzmienie, pełne obrzędowego dostojęstwa. Przy studni też poinformowano się, kto my jesteśmy, poco przyjechalysmy, jak długo tu będziemy.

Podczas kiedy Wanda nabierała wodę, co trwało około dziesięciu minut — ja siedziałam na ławeczce pod orzechem i patrzyłam.

Na mnie zaś patrzył (przypatrywanie się odgrywa wielką rolę w życiu Frampola) mały chłopiec, cokolwiek usmarkany.

Dałam mu cukierek.

— „Co się mówi? spytałam.



— Dowidzenia — odparł grubym głosem.

— Teraz poszliśmy zobaczyć cmentarz.

Szliśmy ulicą, gdzie po jednej stronie stoją domy w ogrodach, a po drugiej stodoły. Stodoły są kryte strzechą, a strzecha jest kryta mchem.

Nad wotami wszędzie ciekawe staroświeckie daszki, ładnie wzbiegające naprzód i wsparte nakroksztynach prostowatej roboty. Takich „stodolnych” ulic jest tu dużo. — Stąd wychodzimy na pola mocno faliste. Na prawo cmentarz żydowski wygląda bardzo pięknie, jako żałobny fragment krajobrazu. Wysokie, zupełnie czarne sosny o wyjątkowo malowniczych koronach, objęte ciasno murem z kamienia. Żadnej innej zieleni.

Cmentarz katolicki jest na prawo. W drzewach, siejących krolami deszczu, gwizdzą wilgi. Groby zagajone soczystą zielenią, pełną dzikiego kwiatu. Pomniki z tutejszego kamienia, takiego jakiegoś wapnistego piaskowca.

Frampolski rzeźbiarz ma o wiele więcej gustu, niż kamieniarze, którzy się rozsiedli koło Powązek w Warszawie. Pomniki są proste w guście najstarszych kamiennych krzyżów powązkowskich.

Napisy na pomnikach odznaczają się bardzo zato swoistą ortografią.

Na jednym z nich znajduje się następujące epitafium:

Katarzyna Miazgowa
z Oszustowi
czów zmarła
a dnia 3 czerwca
rwa.

Życzliwy mąż te pamiątkę
postawił wraz z dziećmi.

Przed odejściem odczytujęmu napis na grobie pewnego księdza:

Ciało grób twe gdy kryje
a duch hen tam dalej mknie
Przechodzień dziś co żyje
nie pyta szczątków, ah nie
Gdzie wy — Gdzie?
o tej porze
sługo Boży
W i k t o r z e!

Deszcz zaczął znowu padać — ale pomimo to koło cmentarza tętniła piłka nożna. Jest to prawie jedyna postać „współczesności”, która tu żwawo dociera. (c. d. n.)

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

DWADZIEŚCIA PIĘĆ JEDENAŚCIE

(R o m a n s)

3

ROZMOWA VI

— Trrrr. Halllloooo. Dwadzieścia pięć jedenaście?

— Właśnie czekałem na dzwonek, aby panią zapytać, czy pani nosi włosy obcięte?

— Niestety, nie. Długie mam włosy, wbrew modzie.

— O, jakżem szczęśliwy!

— Panie Suedi! Nie wiem, czy pan dużo czytuje, ale doprawdy ta moda krótkich włosów uczyni wielki przewrót w literaturze. Czy pan nie zauważył, że w każdej powieści, tej średniej i tej najlepszej nawet, musi bohaterka z rozmysłu czy wypadku rozpuścić przynajmniej raz włosy *coram publico*. W każdym romansie, nieodwołnie: „*Rozsypały się jej włosy fatą po ramionach*” lub „*jak fala*” lub „*jak płaszc*”. Teraz już nie będą się te włosy rozsypywały.

— Mało wiem o literaturze, pani Ewo. Bardzo mało. Przerażająco, jak na mieszkańca Europy. Jestem barbarzyńcą nie tylko z urodzenia. Podziwiam was, że dajecie tu każdej rzeczy nomenklatury tak fantastyczne, tak patetyczne i tak zarazem fałszywe. Naprzykład: piękne, czyste, użyteczne płótno walcie farbowanym olejem, węglem, sadzą i nazywacie to malarstwem. Cenne marmury, hebany, albo solidne bryły kamienia dziurawicie i koślawicie i nazywacie to rzeźbą. Konstruujecie specjalne jakieś puzdra, puzderka, moźolne wkłębłości i wypukłości do robienia hałsu, od którego uszy nam wiedną i nazywacie to Muzyką. Ścisłość każe przyznać, że czynicie wszystko, co możliwe później, aby ten hałas zagłuszyć, czy to tańcem, czy rozmową...

— O Boże! o Boże! O, Barbarzyńco! o, Troglodycie!

— Zagniewało Infantkę to, co powiedziałem!

— (śmieje się). Właściwie nie. Nie maluję, ani gram, ani rzeźbię.

— Chwała Panu na wysokości! Pani jest ideał cnót. Ale czytać pani umie?

— Tak, trochę. Akurat tyle, ile potrzeba było, aby odcyfrować w

księdze telefonicznej numer pańskiego telefonu. Bo co do reszty, to, jakśmy poprzednio ustalili, zasąpił mnie chow-chow...

(Śmieją się oboje).

ROZMOWA VII.

— Trrr. halllloooo... Dwadzieścia pięć jedenaście?

— Tak! hallo!.. Co się dzieje, proszę pani?! Kąta w domu znaleźć nie mogę, bo pani wczoraj milczała. Dziwne, jak się to pani... (poprawia się szybko)... jak się to głos pani... (prawie z furją) jak się ten telefon pani zaszył w moją egzystencję... Dzień mój jest tylko poto, abym oczekiwał godziny wieczornej i dzwonka. Wprost muzyką tęsknoty jest ten dzwonek...

— Tak się pan ostatnio źle wyrażał o muzyce, że mnie nie może cieszyć to, co pan mówi o dzwonku...

— Niech pani nie robi złośliwych kalamburów. Błagam panią o przebaczenie i o litość. Jeżeli zaś ten dzwonek telefoniczny nazywa się naprawdę „muzyką”, to jestem drapieżnym, wściekłym melomanem... o, pani Ewo, Czarodziejko! Czy wczoraj znowu coś przeszkodziło, czyżby znudził panią poprostu nasz mah-jongg telefoniczny?

— Przeszkodziło.

— Pewnie znowu ten manjak. Trzeba go oddać do domu warjatów.

— Mniej więcej on. (Blado). Trochę zły był mój dzień wczorajszy, nie chciałam panu wnieść w dom tego zła, Przyjacielu muzykalny.

— Uważam, że głos pani jest coraz cichszy i jakiś zgaszony. Wszystka dźwiękliwość kryształowa, która mnie w nim tak czarowała, uleciała — co się stało?!

— Stało się to, że już pana nic we mnie nie oczaruje. Poza tem nic.

— Czy pani leży w tej chwili, pani Ewo (z nagłym niepokojem) i z łóżka sięga po słuchawkę?

— Tak. (Po chwili) Tak, jak zwykle. Czy zapragnął pan nagle optycznie umiejscowić nasze rozmowy?...

— Pani jest... (z przerażeniem) pani jest chora?!

—

— Na miły Bóg! Tak!? Ależ tak! przecież wszystko, co pani mówiła odkąd komunikujemy ze sobą, wskazywało na to, że pani jest chora... Co za bałwan ze mnie! co za głupiec! te zimy, w kraju nigdy nie spędzane... ten telefon przy łóżku, przy łóżku, z którego pani prawie nie wstaje... tak, tak! A ten „manjak”, na którego mnie dyabli brali, wyznaje — toż to nic innego, tylko lekarz!!! No naturalnie, poprostu lekarz! Co za głupiec ze mnie! co za bałwan! Pani Ewo... tak mnie pani niepokoi...

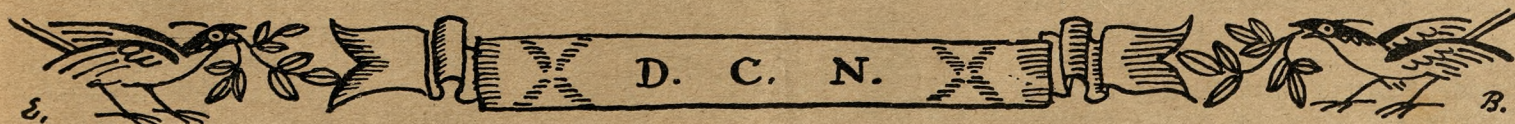
— Czyżby już panu aż tak dalece zaciążyły nasze gawędy? bo przecież gdyby się to wszystko ze mną działo, co się dzieje, to nie byłibyśmy nigdy doszli... do siebie... do naszej kabalistycznej, uroczej miłej liczby... (Z uśmiechem, wyczuwalnym na odległość) Nie trzeba ranić mego chorego serca, przyjacielu niedobry, i narzekać na sprawy, które nas przywiodły do... głupio powiedzieć... do telefonu.

— (wzburzony) Dlaczego mnie pani tak twardo odtrąca zdawkowym frazesem!? Dlaczego mnie pani zbywa żartobliwą kazuistyką?!

— Cicho, cicho. Przyjacielu grymaśny... Lekarz, ten pocciwy manjak, zaleca mi spokój. Nie trzeba mnie martwić...

— (Coraz bardziej wzburzony) Jeżeli wszystko było, aby to było, co jest — to musi pani także mój obecny nastrój uwzględnić, będący tylko wynikiem wyżej wymienionych zdarzeń. Albo przyznajmy sobie, że się nam losy wymknęły z rąk, żeśmy zabłądzili w labiryncie przypadkowości... Nastrój obecny jest ostatniem poprostu ogniem nieznanego mi łańcucha, który się i o pani cienkie przeguby owinał... Chociaż dziś zrezygnowałbym radośnie z tych krótkich dni szczęścia, wyczarowanych przez panią, aby pani była zdr....

— Cicho, cicho, Abnegacie. Powiedział pan jedno słowo, które mnie tak nieskończenie zawsze ziębi. Słowo: „ostatni”...



J U L J U S Z W I R S K I

IDYLLA NA ARKTYKU

„Za to kochał ją istotnie całym sercem! Nie było rozrywki, której by dla niej nie wymyślił, począwszy od saneczkowania, a skończywszy na polowaniu, bo i strzelać ją nauczył. Wbrew przyjętemu zwyczajowi, pojechał na targi jesienne i nakuł stopy tkanin, bransolet z kości ranów, świecideł złotych i brązadeł. Wracał potem na złamanie karku z trwogą okrutną, czy aby „dziecku“ co się nie stało! Ale, na szczęście, nie stało się nic. Prezenty, tak ulubione przez dzieci plemion pierwotnych, przyjęła z wdzięcznością, ale bez udziału dawnej, żywej radości. Nawet coś, niby łyzy, zaszkliło się w przesłicznych oczach, ale znikło natychmiast... Ta dziewczyna indyjska z nad mroźnych brzegów Jukonu umiała cierpieć w milczeniu i z godnością.

Widząc ją taką, Piotr kładł coraz większy nacisk na zmęczenie fizyczne. Istotnie! — długie wyprawy myśliwskie, jakgdyby uspakajały i ożywiały dziewczynę. Podczas jednej z takich wypraw zapuścili się dość daleko, dalej, niż zwykle, w tundrę, w kierunku południowym. Krótki dzień zimowy dopiero się zaczął. Skały, przestrzeń śnieżna, bloki lodowe i powietrze — wszystko jarzyło się oślepiającym blaskiem, tworząc niewysłowioną orgię barw. Małe sanki, ciągnięte przez psy, lekko i szybko sunęły po zmarzłej powłoce lodowej, i ten pęd, narówni z przeczystem powietrzem tundry upajał i nasyczał siłą.

W pewnym miejscu, w zakolu niewysokich grup skalnych, zatrzymali zaprząg i, ukrywając go w jakiejś rozpadlinie, ruszyli w głąb piechotą. Czarodziejski to był zakątek, miejsce przez Boga wysłone, zakłete i zaczarowane wszystkimi urokami słońca i zimy. Uszedłszy z pół kilometra, zatrzymali się za złomem skalnym, gdzie urządzili stanowisko.

Według wszelkich poszlak zbierały się tu bezcenne czarnobure lisy, których ślady widoczne były dokoła z całą wyrazistością; należało więc przypaść w ukryciu i czekać. Alkase miała w ręku mały, ale precyzyjnie bijący sztuczek angielski, przedmiot długich marzeń i powód niesłychanej radości, gdy marzenie stało się rzeczywistością. Ale tym razem dziewczyna była smutna i obojętna zarówno na czar przyrody, jak i na spodziewaną uciechę owiecką. Oczywiście, zabite cierpie-

niem, tępo mierzyły w przestrzeń przed siebie, i żadne uczucie, prócz uczucia zrezygnowanego smutku, nie dało się w nich wyczytać. W ostatnich czasach przekonała się niezbicie, że nie jest i nigdy dla Piotra nie będzie niczem innym, jak przybranym dzieckiem, depozytem bezcennym, który wziął z rąk Thomsona i po rycersku strzegł i ochraniał. Otworzyła się przed nią pustka beznadziejna, martwa, dławiąca, w której, niby cień nieznanego, a potężnego boga, majaczyła postać białego człowieka.

Do uczucia bezgranicznej miłości i oddania przyłączyło się w ten sposób uczucie czci, pierwiastek irracjonalnego pietyzmu i trwogi. Nie mogła go opuścić, aby szukać swego dziewczęcego szczęścia po świecie szerokim, a jednocześnie czuła, że tu, przy jego boku, szczęście to nigdy nie stanie się jej udziałem, że na wieki będzie skazana na jałowe trwanie bezcennych skarbów serca. Po okresie burzliwych ataków namiętności i żarliwego buntu młodej krwi nastąpił okres rezygnacji, przepojonej nawskroś trucizną ostrego żalu. — Coś oto narodziło się w niej, i coś umarło; jakieś uczucia powstały, przeszły i zrodziły się inne, a świat cały stał się nagle, niby przyćmiony krepą żałobny pokój. Z rozmyślań tych wyrwał ją z nagłą brutalną grzmot strzału. Strzelał Piotr. Instynktownie pochwyliła sztuczek i, machinalnie mierząc, strzeliła w kierunku znikającej zwierzyny. Niby echo bliskie, a spotęgowane, odpowiedział znów Piotr dwoma strzałami, jeden po drugim. Cztery lisy, o nadzwyczaj pięknym uwłosieniu, przechodzącym w odcień stalowo-srebrny, wiły się na nie-skalanej bieli śniegu. Kiedy liczne odgłosy wystrzałów zacięły kiedyś w nieskończonej dali, i zapanała poprzednia cisza, czarodziejski zakątek ziemi zataił w sobie głęboko tragedję zgonu i ponurą grozę śmierci. Oto było słonecznie, radośnie i beztrudnie, a przyszedł człowiek ze swoim instynktem niszczenia i w okamgnie-

niu sprawił, że ponad błogosławionym schronem ci żywo roztoczył krwawe skrzydła potworny sęp mordu. Nie popełniło go inne zwierzę, żeby nasycić skrepiący wnętrzości głód lub ugasić świeżą, ciepłą krwią pragnienie. Nie dla ratowania się od śmierci głodowej popełnił też zbrodnię człowiek. Uczynił to dla zarobku, dla pomnożenia nikomu na nic niezdatnych dóbr, siłą względnych, a jakże głęboko zakorzenionych pojęć o wartości zbytku. Odarte i wyprawione skóry pomordowanych pójdą oto z rąk do rąk, jako bezwolny przedmiot chciwego pożądania, aż dopiero gdzieś, w dziesiątym kraju, złożone zostaną w ofierze niepokalanym białym ramionom jakiejś wspaniałej damy, istnego czarodziejskiego kwiatu ludzkiej kultury. Jednak, aby się futra nie mogły stać upiększeniem i ochroną przed zimnem marmurowych ramion nieznannej piękności, ktoś inny, lata całe musi sycić się krzywdą w ilu setek istnień ludzkich, musi oszukiwać kraść i dosłownie deptać życie ludzkie. Aż oto bogactwo nabyte krzywdą ludzką, staną się przedmiotem zawiści powszechnej i nienawiści, aż kiedyś, po latach, nienawiść ta wybuchnie płomienną żagwią rewolucji. Taką oto drogą daleką, nigdy bodaj doszczętnie niezbadaną, idzie zemsta za śmierć niewinną i zbrodnię bezużyteczną. Rzekłbyś, że w nieskończonym kole przyrody odbywa się na zasadzie tajemnych praw wymiar najwyższej, odwiecznej sprawiedliwości za krew, niewinnie przelaną.

Nie było to wszakże udziałem Piotra, a tem mniej Alkase rozważać na temat biegu odwiecznej sprawiedliwości. Pierwszego upoił tryumf łowcy, druga pozostała obojętna, piastując w najistotniejszej głębi swej duszy cierpienie niespożyte, tęsknotę nieukojoną. Wracając do pozostawionych psów w milczeniu pomagała dźwigać upolowaną zwierzynę i obojętnie wysłuchiwała, jaką to ilość dolarów zarobili czterema celnymi strzałami. Z nauk, pobieranych od Piotra, wiedziała, że w środowisku, z którego pochodził, wszystko, nawet uczucia, mierzone jest miarą pieniądza. Za miłość trzeba płacić, jeśli nie bezpośrednio złotem, to stano wiskiem, nauką, dostatkiem, tem wszystkim, czego zdobyć nie sposób bez minimalnej choćby ilości przekłętą kruszcu.

(c d n.)



WANDA MIŁASZEWSKA

14

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

— Bo ja ci powiem, zobaczysz! Ręce ci uschną i odpadną, jedno oko ci z głowy wypłynie i woszy (wszy) cię żywcem zjedzą!

W ten sposób okupuje biedactwo swój własny spokój. Dzieci boją się, by ich naprawdę nie przekleła, i na pewien czas zaprzestają dokuczliwych żartów.

W szkole jest grzeczna, cicha, uważna. Uczy się bardzo dobrze i robi szybkie postępy. Byłaby dzieckiem przemilem, gdyby nie małomówność, a raczej mrukowość, której powodem są owe oczy nieszczęsne, tak, jak są one powodem ustawicznych zająć w szkole i we wsi. Ot i dziś: Pobiły się z Marylką, „ciągały się”, wedle relacji Teosia, za włosy, poszły do kąta i dostały zły stopień za zachowanie. — A wszystko dlatego, że przesłiczne tęczęwki, lśniące, jak drogie kamienie, co chwila zmieniają barwę, zależnie od nieba, koloru sukienki, a nawet odbłyску wesela czy cienia smutku, który w nich zagości.

Gdy Teoś skończył opowiadanie odzisiejszej awanturze z Marylką, biorąc go za rękę i przyciągając ku sobie.

— Popatrz — no dobrze, — mówię — przyjrzyj się dobrze: jakie ja mam oczy?

Teoś, zdziwiony, milczy.

— No, popatrz, jakie? Czarne, niebieskie czy szare?

— Szare.

— Sam widzisz. Teraz są szare, bo i dzień szary. A jak włożę tę bluzkę z krawatem, robią się zupełnie niebieskie. Widzisz. Tak samo i Julka. Jej oczy wcale nie są inne, niż moje i twoje. Są tylko bardzo ładne, dlatego dziwią ludzi. Rozumiesz? Przrzeknij mi, że ty nigdy nie będziesz dokuczał Julce, ani powtarzał takich głupstw, ani wierzył w te wszystkie brednie...

— Nie będę... — mówi Teoś — Ale pani to zupełnie co innego...

XVIII.

Siedzę wygodnie wśród stosu poduszek; kolana okryte pledem, łokcie oparte na stole. Za oknem prószy śnieg. Teraz — to już prawdziwa śnieżycza. Świata nie widać, tylko chwilami, gdy się na moment rozwieje biała mgła drobnutkich płatków, przeblyska tu i ówdzie suchy konar drzewa lub zarys dalekiego domostwa.

W pokoju ciepło, zacisznie. W białym piecu potrzaskuje od czasu

do czasu wilgotna szczapa drzewa: zasyczy, prysnie i zadrga poprzez nieszczelne drzwiczki czerwonym płomykiem. Godzina jest szara, prawie szara. Może ta sama właśnie, którą wskazuje milczący zegar...

Ustawiłam go na komódce w ten sposób, by móc dowoli napaść oczy jego widokiem. Patrę i patrzę, czas płynie... Mała wskazówka stoi wciąż nieruchomo na rzymskiej czwórce, duża — na rzymskiej dziesiątce. Z wnętrza oszklonej szafki nie dobiega żaden głos. Mechanizm jest popsuty. Bronzowy Chronos, wsparty ramieniem o kulę ziemską, jakimś zastygłym ruchem dzierży w prawicy kosę — godło swej władzy — i patrzy przed siebie niewidzącymi oczyma bez żrenic. Surowa twarz starca ma ten sam wyraz kamiennej powagi: tak samo, jak i przed laty, ciemna, prawie czarna sylwetka budzi w mem sercu lęk, niemal grozę.

Wpatruję się w milczący zegar z jakąś półświadomą nadzieją, że lada chwila wskazówki drgną, poruszą się naprzód, i że niebawem usłyszę cztery głębokie, miarowe uderzenia. Zegar powinien wydzwonić czwartą godzinę.

Gdy dziś, jak zwykle po lekcjach, odwiedził mnie Teoś, nie mogłam zrazu rozeznaczyć, jaki to przedmiot dzwiga ostrożnie w obu rękach. Spory przedmiot, owinięty w kawał grubego płótna.

— A ja to znalazł wczoraj u nas na strychu i przyniosł dla pani! — rzekł Teoś, który przyswoił sobie mowę tutejszych dzieci szybciej, niż naukę czytania.

— Znalazłem, przyniosłem. — po-prowadziłam z przyzwyczajenia.

— Przyniosłem pokazać. Zegar to jest, ale popsuty. Nie mówiłem nic babci, bo jeszcze wylaże. Przyniosłem to dla pani. On wcale nie chce iść i tak w nim turkocze, jak potrzaskać. O, słyszy pani? Na strychu ten zegar naszedł się w kącie samym, za skrzynią. Czy pani nie gniewa się na mnie.

Słowa nie mogłam wyksztusić. Wargi drżały mi ze wzruszenia, mrugałam śmiesznie powiekami, nie wierząc własnym oczom. Stary zegar. Zegar ciotki Eufemji Klimontowskiej! Ten sam, który tyle lat temu... Ten sam... Zdawało mi się, że oto przyjaciel dawny przybył do mnie, by mi przypomnieć minione dzieje, pogwarzyć o czasach przebrzmiałych. Kazałam Teo-

siowi zostawić zegar. Może się da naprawić? Zobaczę. Może warto nawet wziąć go do miasta. Zobaczę. Idź już do domu, Teosiu. Zmęczona jestem. Pierwszy raz wstałam z łóżka po chorobie. Wróć znowu jutro, a teraz idź do domu. Dowidzenia.

Po wyjściu chłopca ustawiłam zegar na komódce. Dotykałam każdej skazy w palisandrowych ściankach, wodziłam po nich palcami z uczuciem, że dotykam blizn szanownych. Odemknęłam szafkę i zajrzałam do wnętrza. Nieruchome sprężyny i kółka, nieruchome wahadło z wyobrażeniem tarczy słonecznej, zapyłone wnętrze, pełne kłaków, pajęczyn, much wysuszonych — cały ten obraz ruiny wstrząsał mną, napełniał duszę żalem, pobudzał niemal do łez.

Biedny, Teosiu, ty nie wiesz, coś przyniósł do mej izdebki! Nie wiesz, że wniosłeś razem z zepsutym zegarem całe dzieciństwo moje, całą młodość, wspomnienia smutnych i radosnych godzin, które wydzwaniał ongi... Zniknęła pustka, za siódme góry uszła samotność moja. Mały pokój zaroził się od twarzy znajomych, rozebrzmiał dźwiękami umilkłych dawno głosów. Mam znowu dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat... obrazy zmieniają się szybko, jak, czarodziejskim śnie.

Oto przez pokój przebiega Balbina. Szeroka spódnica o niezliczonych fałdach furkocze za nią. Czarny, koronkowy czepeczek siedzi na bakier. Twarz rozgorączkowana, ruchy gwałtowne. Macha rękoma, jak wiatrak śmigami, i woła:

— Adasiu! Adasiu! Czwarta dochodzi! Konie już zajeżdżali...

Od strony starej kanapy dobiega cichutkie pochlipywanie. To panna Krystyna, z noskiem czerwonym, jak poziomka, przeciera oczy pięściami i nadaremnie usiłuje powstrzymać potok łez. Adaś, który odjeżdża do szkoły i którego po całym domu szuka właśnie Balbina, pochyla się nademną i szepcze:

— Nie płacz, ty... płakso! Cóż to wielkiego znowu, że wyjeżdżam! Przyjadę przecież na święta... A teraz muszę już iść. Ta głupia Balbina lata po całym domu i wrzeszczy, jakby się paliło. A pamiętaj, com ci mówił. I żeby królikom dawać codziennie koniczynę i marchem... To już ty dopilnujesz, prawda?

— Do... dopilnuję...

(c. d. n.)

WŁADYSŁAWA JANKOWSKA

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA SZYMKA

Szymek Zbyrcyn aż się zatrzęsł od nagłego bólu, gdy po skończonym nabożeństwie usłyszał z ambony wywołaną zapowiedź:

„Anna Czajka, panna, i Filip Bąk, wdowiec, zapowiedź pierwsza”.

Już nie czekał końca i wypadł oszołomiony z kościoła na drogę.

Toś ty taka? Ej, Hanusiu, takaś to? a ja o ciebie z ojcami wojnę robił, a tyś się dla mnie Judaszem stała... Z zamętem w głowie i burzą w piersiach gnał przed siebie, a do głębi zranione uczucia były w jego świadomość wzdargą i oburzeniem. Przecież tylko tydzień był poza wsią, gdyż musiał starszemu bratu pomóc w koszeniu siana, a gdy wrócił, już Hanusia do niego nie wyszła, ani z nim mówić nie chciała. Dopiero się w domu dowiedział, że ojcowie jego przemówili się z Hanusią i podobno do brzydkiej zwady między nimi doszło.

...A cy ja temu winowaty? a cym cie, Hanuś, nie kochał?... A cym sie nie wyrzeknoł gruntu i działu dla ciebie?... mrucał przez zęby i pięści zaciskał, bo go coraz mocniej ból dotkliwy kąsał, zazdrość żarła i gniew palił.

Biegł polną ścieżyną w stronę regli ku gajowni, gdzie Hanusia z matką w jednej izbie mieszkała. Przed kładką na potoku przystanął i w bystrą, szumiącą wodę wpatrzył się bezmyślnie.

...Że ociec kwardy i mama nieustępliwi, że mi nie kcieli nicogo dać, kie sie z tobom, Hanuś, ozenie, to bez to nie potra było zara sukac kupca na siebie... Ale tyś sie, Hanuś, bieda bała ze mnom, w tem rzec cała... rozmyślał głośno... niegze ta!... wykrzyknął i obejrzał się za siebie. Pogardliwy uśmiech po wargach mu wionął na widok zbliżającej się Hanusi; podszedł ku niej i stanął na wąskiej ścieżce pomiędzy zielonymi owsami, żeby go Hanusia wyminąć nie mogła.

— A to cie, Hanusiu, pięknie witam — ozwał się Szymek z uśmiechem i kpiącym zmrużeniem oka.

— I ja cie Symusiu pięknie odwituje — ozwała się dziewczyna z nieprzyjaznym chłodem.

— Aleś se tys nalazła urodnego chłopca na moje mijsce, niema co mówić! — parsknął obraźliwym śmiechem i w twarz jej zajrzał próbował.

— To ci sie Filipek nie widzi? — zapytała, a z podniesionych ku

niemu oczu błysnęła wesołość.

— Jakozby nie? kawaler wybrany, gdowiec i obskarni pasujecie ku sobie, widzi mi się, he, he, he — śmiał się nieszczerze.

Urażona Hanusia odsunęła Szymka na bok, a ten szedł tuż za nią w milczeniu.

— A mam go rada, zebyś se wiedział — rzuciła poza siebie rozżaloną.

— Chocia w telik rokak? — pytał, przechyliwszy ku niej głowę.

— Niegze ta — syknęła.

— Juści, zobacytek, że Filipek godnie wołowaty, będzie ci na wolu groł do spania, kie na kobzie, to ci sie na onem wywieisku nie zacnie za muzykom.

— Niegze ta bedzie i wołowaty — odrzekła już podrażniona zaczepnemi kpinkami Szymka; twarz jej spochmurniała, a łzy czaiły się w kącikach oczu. — Skodować mnie nie musis, bo ci juz nic do mnie... — biła w Szymka ostremi słowami.

— A bo ja cie skodujem? wartas takiego, za jakiego sie wydajes! — mówił Szymek z goryczą, a nuta żalu drgała w jego głosie.

W milczeniu doszli do gajowni i tutaj Hanusia przystanąła i spojrzała na Szymka chmurnie.

— A ty sie juz wedle mnie wiencyj nie plontaj, to ci po dobroci mówiem!

— Ej Hanuś... ej Hanuś! — ozwał się Szymek z nagłym smutkiem — Podeptałaś nase scenście, a tera sie jesse kces zabrać onym siełniakiem*), dy to cysty wrodoś,**) ino sie próchno z niego usypuje.

— Nie broniam sie nikomu śmiać, ale Filipek ojców nima, coby mi przezwiska dawali i sytko wypominali; juz nie bedom narzykać, zek ci zycie popsula i na siłe sie za ciebie wydała, niegze sie udłowiom swoim majontkiem, a ciebie ozyniom po swoi woli... ostań z Pane Bogiem! — odwróciła się do niego plecami i wpadła do sionki, zatrzasnawszy drzwiami poza sobą.

Szymek stał chwilę ze zmarszczonymi brwiami, wreszcie machnął ręką i zabrał się z powrotem ku wsi z głośnem gwizdaniem, chociaż ból i uraza skręcała jego serce. Z gościńca skręcił w obejście Staszka Czajki, stryjecznego

brata Hanusi, a swojego przyjaciela. Ale go w domu nie zastał, więc tylko pasterzowi, co wypadł z szopy, przypomniał, iż się dzisiaj wieczorem ze Staszkiem spotkać mają w Newcyrce, i ten zaczeka na drugiego, który pierwszy przyjdzie. Zafrasowany chłopak podrapał się w głowę.

— A bo my to dzisiaj pod wieczór mieli z dziwkami od Sulejki iść na Gewont ognie palić!...

Szymek machnął lekceważąco ręką, a odchodząc, rzucił poza siebie:

— Pódziecie bez Staszka, my w dolinie mamy nasze sprawy.

Chłopak zagwizdał i roześmiał się domyślnie:

— Pewnikiem wypatrzyliscie w turniak capa!

Od Stawów Terjańskich schodził Jasiek na dół jeszcze przed mrokiem; śpieszyło mu się, gdyż późno z domu wyszedł, a dobra chwila mu zeszła na szukaniu flinty, schowanej w kosodrzewinie pod kamieniami. Teraz więc gnał zielonemi upłazami, skracając sobie drogę, żeby dopaść szałas przed nocą.

Poniżej stawów przysiadł, aby odetchnąć i fajkę zakurzyć, nim jednak do końca wypalił, już mu się jakoś dziwnie i nieswojo uczyniło.

Pusta i dzika kotlina, wypełniona śpiętrzonymi głazami, z białemi usypiskami, wyłaniającemi się straszdyłami z nocnych cieni, zionęła na niego beznadziejnym smutkiem i martwością. Huk wodospadu i potoku nie tylko nie ożywiał kamiennej kotliny, ale raczej dodawał jej grozy i podnosił wrażenie niesamowitości.

To też Szymek, poczuwszy nie miły dreszcz lęku, już nie kończył fajki, ani też zawyskał, jak to był zwykł czynić w samotności, ale się porwał, ciupagę mocno w garść ujął, flintę na ramieniu poprawił, wiedząc, że o tym czasie żadnego strażnika nie napotka, i w skok rwał ku dolinie, trzymając się brzegu potoka.

Zaledwie odetchnął i rozdział się, a flintę przezornie w trawie wysokiej ukrył, zaraz się jął rozpalać ognia w kącie pustego szałas. Dopiero, gdy wesoły, choć niewielki płomień zaczął z trzaskiem w górę strzelać, usiadł na wysokim progu szałas; teraz czuł się, jak w domu, rażno i wesoło, gdy poza jego plecami sy-

*) choroba — kaleka.

**) szkodliwy — obrzydliwy.

czał ogień, a dym pachnący drażnił nozdrza.

Wypoczywając, nadstawiał uszu, czy nie usłyszy umówionego gwizdania Staszka albo brzęku jego ciupagi, ale żaden odgłos, zwiastujący zbliżanie się człowieka, nie zamącił uroczystej ciszy. Pykając fajeczkę, uśmiechał się błogo do słodkiej ciszy, jaka poczęła wypełniać jego istotę; zmęczenie, ból i wzgarda spływały z niego i wsiąkały w surową ciszę nocy.

I zdało się Szymkowi, że jakieś święte dłonie kładą się na jego głowę i niosą błogosławioną radość i lekkość, a rzeźwe tchy nocne kojącym balsamem padają na świeżą ranę. Z podniesioną głową i przymkniętymi oczyma wsłuchiwał się chciwie w mowę tej miniaturowej, najpiękniejszej puszczy, ukrytej wysoko w górach.

...Biedactwo i tela, co ona za życie będzie miała z tym Filipkiem?... to tak, kiebyś różom kwitnoncom w gnój za sobom wsadził... Ej, Hanuś, mojej ty dziwce, zol mi ciebie, zebys haw była, tobyśmy sie społem rozmówili i mozebyś nie zabijała naszego kochania o bzdure, bo i jakoz my bez siebie żyć bedziemy?... rozmyślał z łagodnym smutkiem.

...Zol ci dziewczyny?... zol?... zazsumiały wierzchoły prastarych smereków z ubolewaniem.

...Sytko przemienie, nie bojać sie, jesce sie pociesys... szeleściły ostro bujne trawy i rosą ocieżałe kwiaty.

Ale huk potoku w swoim skalistym łożysku pod olbrzymiemi ścianami Hrubego zapanował nad całą doliną i wchłonał w siebie wszystkie głosy; chwilami jeno przycichał, jakby sam siebie chciał posłyszeć, a w tym momencie ciszy słysząc było, jak szła po lesie gędzba uroczystej, kościelnej modlitwy.

W ten świat górski, w jego kryształiczną topiel zapadał Szymek, stapiając się z nim w nierozdzielną całość z zapomnieniem o sobie i swoich sprawach. A noc zachodziła ponad szczytem Hrubego, co zdał się ze spiżu wykutym, stanął księżyc i całą dolinę utopił w srebrzystej poświacie; rozprószył cienie z posępnych usypisk, pieszczotą dotknął czuby drzew i krawędzie lasu rozświetlił. Potężne smereki zagnały ucichły, las cały zastygł w bezruchu, jakby z zapartym oddechem oczekiwał zaczęcia świętego obrzędu.

Wtem Szymek drgnął i cały w słuch się zamienił, zdawało mu się, iż posłyszał przeciągłe wołanie.

...Szymku!... Szymku, a podze haw!... ha, ha, ha, ha... ...zadzwoń! stry, dziki śmiech, roześmiał się Szymek z przymusem, bo owo wołanie potoku w samotności dresz-

czem lęku po ciele mu przeszło, a równocześnie mu przypomniało, że w noc dzisiejszą o północy paproć zakwita i dziwy wszelakie się dzieją; a kto bez przestachu przetrwa wszystko, tego szczęście do śmierci nie opuści.

...Juści, ze wytrwam, ale lepi, żeby Stasek przised przed nocą, bo może pobłądzić... Zagnała wpatrzył się przed siebie i oczom swoim nie wierzył: z góry, z falujących mgieł płyną ku niemu jakieś głosy. Szymek rozróżnia wesoły zgiełk i śpiewanie, i oto z mlecznych tumanów nad brzegiem potoka wychodzą dziwne postacie, jakie Szymek widywał tylko na starych obrazkach, na szkle malowanych.

Idą zbrojni mężowie w szerokich pasach, świecącymi blaszkami nabijanych, z pistoletami zań zatknętych, na głowach ich czapy baranie, bogato przybrane w pióra orle i sznury talarów, a pod nimi twarze śniade i zuchwałe; schodzą zwolna, a za nimi z gajdami pod pachą muzykanty. Dzwonią spiżowe dzwonki na szyjach owiec, a za niemi pojedynczo i razem juhasy, chłop w chłopa ogromny, czarne ich koszule na piersiach rozwarłe, a topory i pałki w garści każdy niesie.

...Jezusie, Maryjo Przenosiwiesz, dy to heba starodawne zbójniki... pewnie sie na te noc rozbudziły... pomyślał Szymek, zmartwiały od grozy. I znowu rozejrzał się dookoła po dolinie, rozjarzonej światłami palących się smolnych pochodni. I widział w czerwonych blaszkach roześmianą gromadę, dziewczęta rosłe, wyskające tak donośnie, wysoko i dziko, że mróz do kości przenikał.

Wtem jeden ze zbójników, znać herszt mocarny, skoczył na kamień i podniósł rękę do góry. Nosowe dudlenie kobzy gwar zgiełkliwy zamilkł odrazu, a dwóch rośłych, jak niedźwiedzie, chłopów

wystąpiło z gromady i zbliżyło się ku samotnej limbie, która, objawszy korzeniami głaz olbrzymi, stała nad łożyskiem potoku, wpatrzona w białe jego piany. Jednym ruchem potężnych ramion podważyli ona limbę z głazem, a drudzy w otwór, jaki się uczynił, sypali złote i czerwone dukaty, talary srebrne, mierzając je garncami. A potem widział Szymek, jak stos wysoki zapłonął i rozkrwawił blaskami ognia dolinę, ściany skalne i turnie, jak w czarnych smugach dymu chłopcy skakali przez płomienie, a dziewczki, śpiewając, z juhasami tańczyły. Dudlenie kobzy, trzask ognia i okrzyki, zestokrotnione echem, zlały się w jedną dziką melodję.

Szymek już nie mógł wytrzymać, taka go ochota porwała, że, zapominając o strachu, podbiegł ku tańczącym.

I oto stał się dziw nad dziwy.

Zamiast płonącego stosu, tańczących zbójników i juhasów Szymek ujrzał, iż stoi przed wielkim krzakiem paproci z rozkwitłym słonecznym kwiatem.

...Kwiat paproci la mnie zakwit... bełkotał i obejmował budowny krzak ramionami.

— Symusiu, a dy cie dobudzić nie mogem! Symuś! leciałam ku tobie telo wartko, ze cud com zywa przysła — przedarł się do zmaconej świadomości Szymka głos znany i najmilszy; otworzył szeroko oczy: ta sama dolina, ten sam huk potoku, głęboki szum lasu i białe mgły na skalnych ścianach, a przy nim Hanusia, dysząca ze zmęczenia i strachu, mamrocze urywanym głosem:

...Oj leciałam ku tobie, Symusiu serdecko, we łzak i w załobie, zek ci teli smutek wyrzondziła... Widziało mi sie, ze mi serce puknie, kiedyś z gwizdaniem odemnie odchodził... i zara do Staśkam leciała, zebys haw nie przichodził, bo nimo po co, a sama za tobom pogoniłam — szeptała nawpół z płaczem.

— Hanusiu, to ja spał? — pytał niepewny rzeczywistości.

— Juzci, jak umarły... —

— A tyś haw ku mnie leciała?... — gorący szept scichł na jego ustach pod wargami Hanusi. — I do śmierci останies z mnom? — szepnął wzruszony.

— Do śmierci samej, Symusiu — wyjąknęła.

Pokiwał głową Szymek i uśmiechnął się domyślnie, a biorąc Hanusię za ręce, przyciągnął ją ku sobie i rzekł z tajemnicy pełnym wyrazem w twarzy:

— Bom się nie bojał, bom nie uciekał ze strachu, temu mi paproć zakwitła. Tera juz wiem, ze przy mnie останiecie na zawse... Ty i scenście.



KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773.— 1831

8

Po pięciomiesięcznej nieobecności zobaczyli Fitz Geraldowie synka, pozostawionego u babki. Chłopaczek wyrósł i rozwinął się świetnie. Kontrast między tem rumianem, białem i tęgiem dzieckiem, a trzymiesięczną siostrzyczką, bledziutką i „drobną, jak ptaszek,” był tak silny, że młoda matka rozplakała się, a ojciec, zniecierpliwiony, kazał odnieść maleństwo do nursery.

Łzy Pameli miały głębszy powód. Czekala ją bolesna próba. Edward postanowił zostawić syna babce.

Wiedział, że zdarzenia, które idą, oderwą go od rodziny — może na zawsze — i że to zada wielki ból matce, kochającej go nad życie i dziś już o niego drżącej.

Był człowiekiem tklivego serca i nie mógł znieść myśli o smutku matki.

Więc, jako okup za siebie, dał jej swojego sobowtóra: małego Eddy z niebieskimi oczyma.

Księżna umiała ocenić ofiarę, którą czyniły jej dzieci, oddając swój skarb największy. „Że Edward to zrobił — mówiła — to jeszcze mniej dziwne. Zawsze był dobry, jak anioł, i do mnie niezmiernie przywiązany. Ale że Pamela, kochaneczka, uczyniła tę wielką ofiarę, to dowód z jej strony takiego zaufania, że nie umiem wyrazić serdeczności, jaką czuję dla niej. Byłam egoistką, wyrzucam to sobie, lecz przeżyłam tyle niepokojów, tyle smutku, zanim uległam pokusie... a oni uważali jeszcze za potrzebne dziękować mi.”

Być może, że lord Edward czuł pewną ulgę, myśląc, iż cokolwiek się stanie, „kochane maleńkie stworzenie” jest w ciepłym gnieździe rodzinnym. Bo „Kildare Lodge” nie był już wyłącznie „gniazdem miłości,” stawał się kwaterą sztabu powstańczego.

Pamela godziła się, jak zawsze, ze zdaniem męża, nie bez bólu jednak. „Nie mogła widzieć dziecka w wieku Eddy bez bicia serca.” Powrót do Kildare był owiany smutkiem.

Niebawem ożywił się cichy dom. Zaczęli się pojawiać w jego ścianach niebawali dotąd goście. Domownikiem stał się Artur O'Connor. Obydwaj przyjaciele jeździli konno na długie wycieczki po oko-

licy, przeprowadzając organizację potajemną hrabstwa Kildare.

Pameli dotrzymywała towarzysztwa najmłodsza siostra męża, Lucy, powiernica jego planów, jedyna z rodziny, solidaryzująca się zupełnie z „szalonym” bratem. Pamela bardzo ją kocha. „Pamiętaj, że jeśli jesteś u nas, to znaczy, że jesteś u siebie” — pisze bratowej.

Lucja przebywa najchętniej w skromnym dworcu braterstwa. Jest w tem jednak ukryta przyczyna. O'Connor kocha się w niej od dawna, a ona odwzajemnia serdecznie jego uczucie, choć zdaje się, że miłość to beznadziejna. Rodzina nigdyby chyba się nie zgodziła na mariaż młodej Lady z człowiekiem ubogim, choć o tradycjach rodowych — królewskich, który w dodatku ma opinię niebezpiecznego wywrotowca. Ale Edward, kochający O'Connora, jak bliźniaczego brata, patrzy z radością na młodą parę i cieszy się, jak dziecko, że spraszając ich razem w swym domu, płata figla plotkarskim ciotkom i gderliwemu ojczymowi, który zamknął drzwi przed Arturem i nie pozwolił Lucji przyjmować jego odwiedzin.

O'Connora i Fitz Geralda łączy dziwne braterstwo krwi.

Co jakie sto lat powtarzał się w dziejach Irlandji tragiczny bunt przeciw najeźdźcy i co jakie sto lat któryś O'Connor i któryś Fitz Gerald stawali ramię przy ramieniu na czele walczących, a gdy przyszła klęska, szli ramię w ramię na szafot lub na szubienicę.

Tak było za Elżbiety w r. 1566, tak w r. 1645 za Kromvella.

Czy myślą o tej krwawej tradycji obaj towarzysze, rozwijając po tylu latach znów tę samą zieloną chorągiew z prastarym herbem Erynu, harfą, którą dziś tylko, zamiast korony, frygijska czapka wolności zdobi u szczytu?

Może i nie myślą, tak bardzo pochłania ich chwila obecna, tak wesoły entuzjazm w nią wkładają.

Dwaj przyjaciele i dwie bratowe tworzą „szczęśliwą czwórkę, l'heureux quatuor” która, gdy jest razem, nie dba o świat cały.

Co za rozkosz, wracając z długich wycieczek w deszcz i zawie-

ruczę, znaleźć się razem przed kominkiem, gdzie płonie ogień torfo-woj jasnym blaskiem. Nawet ostrowoń jego dymu ma swój specjalny urok. Kieliszek domowej whisky, „demokratyczny” napój, smakuje lepiej, niż drogie wino, a gra na kobzie starego chłopca zastępuje koncerty. Pod wielkim portretem „obywatela” Tomasza Paine prześiadają we czworo; kobiety haftują, O'Connor czyta głośno Juljusza Cezara Szekspira lub Ruiny Volney'a.

Wyznać trzeba, że Edward zaspia wtedy czasem na kanapie czyli, jak się mówi w słowniku domowym, „oddaje cześć wielkiemu Bogu Bed Down” *).

A gdy odpoczną i przyjdzie stary grajek, tańczą, tańczą na zabój.

Edward celuje w narodowych tańcach irlandzkich, szalonych „dżigach”, taniec zbójnicki przypominających.

Czasem, gdy zbierze ich ochota urządzić modnego kontredansa, ściągają sąsiadów, przywołują nawet służbę. Czyż można zresztą mówić o służbie? Ludzie, co ich otaczają, są jakby jedną rodziną. Jest wier-ny murzyn, Tony Small, który niedgdyś ocalił życie Edwardowi w bitwie pod Entaw Spring, wynosząc rannego na swych rękach, nierozłączny odtąd towarzysz. Ożenił się z przywiezioną przez Pamelę francuzeczką, Julją, boną maleńkiej Pam, a dziecko ich, mularczyk, chowa się we wspólnej nursery. Gorzej stoi sprawa z woźnicą i ogrodnikiem w jednej osobie, Terrym, gdyż nieborak lubi zanadto często zaglądać do kieliszka i wtedy robi „rzeczy okropne” ku utrapieniu Pameli i jej fraucymera. Ale w gruncie rzeczy jest to zacny chłop irlandzki, za sprawę ojczystą gotów głowy nadstawić. Otóż to jest braterstwo, które łączy węzłem nierozwalnym różnych sobie ludzi. Dlatego bliższym jest teraz Edwardowi od książęcych kuzynów zacny aptekarz Cummins, który jest codziennym prawie gościem w Kildare Lodge.

Ci goście „patrioci”, ta demokratyczna z nimi zażyłość gorszą niezmiernie krewnych i dawnych znajomych lorda Edwarda. Legendy krążą o tem, co się dzieje w białym domku. Trzeba przywieść na

*) Bed — łóżko, Down — bóstwo.

pamięć dumę, kastowość, nieznośną sztywność arystokracji angielskiej z tej epoki, której dziwili się nawet arystokraci francuscy, aby sobie wystawić, jakim skandalem dla owego świata był tryb życia młodych Fitz Geraldów.

Ci doktorzy, ci aptekarze, bywający za pan brat w domu potomka jednej z najstarszych rodzin w kraju! Opowiadano sobie — ze zgrozą — że gdy danserek do kontredansa braknie, Pamela i Edward zapraszają dwie młode panienki, córki rzeźnika.

Ze strony Pameli nie dziwi to nawet, wiadoma rzecz z jakiego wyszła gniazda, ale lady Lucy, nie dziecko już, a dwudziestotrzyletnia, piękna, mądra i dumna panna, jakąż ona może znajdować przyjemność w obcowaniu z taką „demokratyczną“ sosjetą? Czy też wpływ O'Connora, zepsutego i buntowniczego ducha, należącego do jakichś tajemniczych sekt: „Illuminatów“, nie wiedzie jej na manowce? Są też ciągle walki i dysputy z rodziną, które, pół żartem, pół z rozdrażnieniem powtarza Lucja Pameli, gdy chwilowo bawi u wujostwa Conollych.

„Rozmowa, którą miałas w Castletown — odpowiada Pamela — pobudziła mnie do śmiechu, doprawdy sędzę, że osoby, o których wspominasz, są o sześćset lat zacofane w porównaniu do nas czworga: Ciebie, Artura, Edwarda i mojej osoby. Nie jest to skromnie z mojej strony, ale cóż, kiedy to prawda! A ciotka Sara, czy wciąż tak cię wypytuje o naszego przyjaciela“?...

Święta Bożego Narodzenia spędzili małżonkowie we dwoje. Pamela uważa za największą radość, gdy ma przy sobie Edwarda. Tak mało czasu może jej teraz poświęcić. Zajęty organizacją drużyn w hrakstwie Kildare, wypracowuje plany ruchawki na wiosnę.

Na wiosnę, kiedy przypłyną Francuzi...

Młoda kobieta dzieli entuzjazm męża i jego przyjaciół, jej wrażliwa natura poddaje się nastrojom radosnym, czarne przewidzenia stara się odsunąć daleko, ale, tuląc dziecinę do piersi i opierając głowę o ramię swego „wielkiego, kochanego chłopca“, nie może czasem powstrzymać łez.

„Oby łzy moje były zawsze tylko łzami wdzięczności! Nie chcę myśleć o przyszłości, chcę korzystać z chwili obecnej, która jest tak cenna, tak szczęśliwa. Lecz terazniejszość jest krótka i widzę przyszłość, jak zbliża się szybko krokami, a gęsty welon ją kryje. Dobroczynna natura tak postano-

wiła, gdyż inaczej czyż moglibyśmy znieść życie?

„Trzeba na czarne dni gromadzić zapas szczęścia“.

Tak pisała Pamela do Lucji w dzień Bożego Narodzenia 1796 r.

* * * (c. d. n.)

REFLEKSJE NA CZASIE

(Westchnienia bezcelowe.)

„Moda“... Odważnie wyznaję, że nigdy nie mogłam pogodzić się całkowicie z tem pojęciem — niestety jednak, znając już z doświadczenia jego siłę, muszę się z niem liczyć. Z zazdrością myślę o kobietach dawnych wieków, którym wystarczał jednak przez stulecia (w ogólnych zarysach) styl ubiorów, a które bynajmniej nie zatracaly przez to piękna... Lecz wznowiać gwałtem ten stan byłoby równie beznadziejnym, jak siłć się na odwrócenie biegu czasu.

Coś się przeinaczyło w poczuciu estetycznym ludzkości: linja czy barwa; aby się podobać, musi być nie piękną ani celową, lecz... nową. Wszakże i to pojęcie nowości jest bardzo względne.

Z końcem XIX wieku można było dobrze zniszczyć suknię (z ówczesnej niespożytej wełny!) zanim przestała być modną; okres panowania jakiegoś stylu w ubraniu można było liczyć zwykle na kilkanaście lat. Okres ten zaczął się potem po trochu skracać... Już przed wojną pamiętam kłopoty z przerabianiem sukien, jeszcze całkiem świeżych, które raptem musiały stać się dłuższe i węższe pod grozą śmieszności.

Lecz to wszystko jeszcze można było wytrzymać: sądziłyśmy, że te nowe formy naszego stroju potrwają przynajmniej z 5 lat, że będzie czas z nimi się oswoić, przystosować do nich swe toaletowe programy na dalszą metę. Tymczasem wojna, zamiast usunąć te kwestje na dalszy plan, wprowadziła w nie właśnie jakby stan zapalny. Proszę mi darować wyrażenie: moda się wściekła. W jakiś rok czy dwa po długich, wąskich spódnicach, przyszły krótkie i bardzo szerokie; krój rękawów, bluz, żakietów, całkowitych sukien też zmienił się gruntownie. I odąd już pędzimy w niepohamowanym tempie — nie wiem właściwie dokąd? a często i w kółko, bo oto po 10-u latach krótkie suknie powróciły, a stan wykazuje tendencje do posunięcia się znów w górę, tuż pod piersi, jak w latach 1911-13.

A tempo zmian staje się coraz szybszem — oto zaledwie oko się owoiło z dużemi, kopulastemi główkami kapeluszy, a już nas straszą, że ten fason, narodzony przed 1/2 rokiem, jest dziś démodé! Ledwie się przerobiło wszystkie szaty wedle wymagań mody — już po 2 miesiącach (nie przesadzam!) trzeba brać się do nowych, a często bardzo zasadniczych, przeróbek.

Nie narzucam nikomu mojego osobistego, staroświeckiego stanowiska w tej sprawie. Chciałabym — jak każda normalna, kulturalna kobieta — wyglądać ładnie i stylowo, ale właśnie dlatego chodziłabym z gustem całe życie w stroju greckim albo „empire“. Rozumiem jednak, że u większości kobiet dużą rolę odgrywa zmysł naśladownictwa, potrzeba zmiany: to, co się zbyt „opatrzy“, staje się nudnem, niemiłem do noszenia. Dlaczegoż nie zrobić nowej sukni trochę inaczej, niż dawna? Można w to włożyć wiele wdzięku i artystycznej inwencji. Lecz pomiędzy takimi zmianami, przychodzącymi niejako naturalnie, z biegiem czasu, a obecną niepo czytelną, zawrotną galopadą mody, — jest naprawdę wielka różnica.

Przedewszystkiem społeczna.

Bo co innego jest zrobić sobie inaczej nową suknię, płaszcz czy kapelusz — a zupełnie co innego bezustanku wszystko przerabiać i co pół roku mniej więcej odrzucać różne stroje i stroiki jedynie dlatego, że już niemodne, a sprawiać zaraz i koniecznie nowe, według „dernier cri“ — znowu tylko na kilka miesięcy.

Na pierwsze może sobie pozwolić każda oszczędna, nawet uboga kobieta; na drugie trzeba już za możności nieprzeciętnej albo wysiłków, zupełnie do celu niewspółmiernych... Żeby w dzisiejszym szalonym wyścigu nie zostać w tyle, t. j. utrzymać się zawsze na wyżynach komoletnej elegancji — na to trzeba albo mieć szczególny talent krawiecki i artystyczną intuicję, albo wielki majątek.

W obu zaś wypadkach spożytkowuje się na to dużo, dużo cennego czasu. Czy go nie szkoda? Zwłaszcza dziś, gdy tyle kobiet pracuje zarobkowo i ciężko walczy o byt?

Nasze prababki, przywiązane z resztą wyłącznie do zajęć domowych, wkładały też wiele pracy w upiększenie siebie, swych mieszkań i ołtarzy — ale dzieła ich rąk trwają przeważnie do dziś! Niejednej może praca ta popsuła oczy, ale nie targała nerwów nienaturalnym pośpiechem, nie stwarzała zamieszania. Była miłem zapełnieniem wolnych chwil, a nie dziką walką o to, aby przypadkiem nie zostać w tyle,

nie „puścić się“, uniknąć śmieszności.

Patrząc na to, co się dziś dzieje w tej dziedzinie, trudno się oprzeć poczuciu, że na modę obecną — jak zresztą i na całe nasze życie — wpłynął potężnie kinematograf. On to przyuczył nas, wprost znałogował do ciągłej, błyskawicznej zmiany wrażeń. To też zmieniamy suknie, kostiumy, płaszcze, kapelusze.. całym, jak w kinie!

Doprawdy, przypomina się żywo znana anegdota o jakimś żydku, który schbie wyobrażał, że, skoro pan hrabia bierze codzień świeżą bieliznę, to Rotschild pewnie spędza cały swój czas na skakaniu z jednej koszuli w drugą. Kto wie, czy my nie dojdziemy do podobnej perfekcji w zmienianiu szatek...

Ani chwili się nie łudzę, aby te moje refleksje zahamowały choć odrobinę nieuchronne przybliżanie się tej straszliwej epoki. Sławni krawcy paryscy i wspaniałe demimondaine'y postanowili solidarnie wypróbować naszą cierpliwość. I nie zawiodą się na nas! Zginie my raczej, a nie damy się zakasować nikomu!

Wiem o tem dobrze i nie potrafię walczyć z rozszalałym żywiołem snobizmu. Jeżeli piszę te słowa, to jedynie dlatego, aby pozostał dla dalekiej przyszłości jakikolwiek ślad, że jednak była kobieta, która zachowała zdrowy sąd i gust, choć wleczona wbrew swej woli przy galopującym rydwanie...

Z. Zawiszką

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



POSTĘP W CHINACH.

„Equal Rights“ donosi, iż uniwersytet chiński w Czengtu (Chiny Zachodnie, prowincja Szechwan) przyjął do grona swych studentów kobietę. Jest to pierwszy w państwie chińskim wypadek do puszczania kobiety do studjów uniwersyteckich.

POLICJA KOBIECA W AMERYCE.

Pani Mina Van Winkle, naczelniczka wydziału policji kobiecej w Kolumbji, wygłosiła niedawno na miejscu publicznym, urządzonym staraniem amerykańskiego Narodowego Stronnictwa Kobiet (National Woman's Party) bardzo zajmujący referat o działalności i zadaniach policji kobiecej.

„Zadaniem naszym — mówiła p. Van Winkle — jest nie tylko śledzić, pociągać do odpowiedzialności przestępczynię, lecz przede wszystkim zapobiegać samym przestępstwom. I tutaj — trzeba przyznać — osiągnęliśmy już bardzo znaczne wyniki. Policjantki nasze są doskonale obznajmione z psychologią przestępczyni — dorosłych i nieletnich, ubogich i zamożnych. Obserwując bacznie robotnice w zakładach fabrycznych czy pracowniach, wiedzą one często o zamiarze sprzeniewierzenia, ukrycia jakiegoś towaru, bodaj wcześniej jeszcze, niż to sama przestępczyni sobie uświadomi. Prawo jednakże nakazuje policjantowi czekać, aż przestępca dokona kradzieży, i dopiero wtedy aresztować go i oddać w ręce sprawiedliwości. My zaś staramy się postępować inaczej, staramy się nie dopuścić do tego, aby młoda dziewczyna, przymierająca głodem, matka, nie mogąca ze swego nędznego zarobku wyżywić drobne dzieci zamieniały się w przestępczynię, które, raz zetknąwszy się z więzieniem, sądem i całą hańbiącą procedurą karnej, stoczą się już może potem na dno coraz dalszego upadku...

„Wypracowałyśmy już sobie pewne metody, za pomocą których możemy — poza swymi zwykłymi obowiązkami służbowymi — pełnić jeszcze i obowiązki opiekunek moralnych tych wszystkich najniebezpieczniejszych, z którymi nasz zawód ciągle styka nas. Staramy się usuwać dzieci i młodzież z pod złych wpływów otoczenia i umieszczać ich w zakładach, gdzie zdobywają fachowe wykształcenie wraz z odpowiednią opieką moralną; pozabawionym pracy udzielamy drobnych pożyczek do czasu wyszukania nowego zajęcia i zapobiegamy w ten sposób wielu przestępstwom, popełnionym poprostu z nędzy.

„Podkreślam z całą satysfakcją moralną, że nigdy jeszcze dotąd nie było wypadku, abyśmy pożyczonej kwoty nie otrzymali z powrotem. A przecież wśród dłużników naszych byli nieraz złodziejki i recydywistki! Pieniądze nasze dopomogły im do wejścia na drogę uczciwej pracy.

P. Van Winke zakończyła swe przemówienie żądaniem rozszerzenia kompetencji policji kobiecej i zwiększenia jej kadr, aby tak pożyteczna i dobrze zapoczątkowana praca mogła się dalej pomyślnie rozwijać.



„KSIĘŻNICZKI DOLAROWE“ PRACUJĄ!

Wbrew ogólnie rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby córki milionerów i miliardarów amerykańskich miały pędzić życie beczynne, poświęcone jedynie rozrywkom, sportom, flirtowi i zabawom — dzienniki amerykańskie wyliczają cały szereg „księżniczek dolarowych“, które postanowiły zarabiać na swe utrzymanie pracą samodzielną, nie korzystając z fortuny, posiadanej przez rodziców.

Tak np. córka słynnego magnata, Vanderbildta, Consuela, posiadając duże zdolności rzeźbiarskie, otworzyła własną pracownię pod zmienionem nazwiskiem, aby nikt w niej nie poznał córki wielkiego multimilionera. Dzieła jej, umieszczone na jednej z ostatnich wystaw artystycznych, zyskały ogólne uznanie, pomimo, iż incognito jej nie zostało zdradzone przed nikim.

Inna córka milionera, Murzay Butter, jest działaczką społeczną i polityczną, należy do stronnictwa republikańskiego, utrzymuje się z pracy dziennikarskiej i zamierza kandydować do parlamentu.

Dwie siostry Lewis założyły w Nowym Jorku teatr popularny, cieszący się wielką frekwencją ludności robotniczej. Karjerze teatralnej poświęciła się również panna Rosamund Pichon, występująca w teatrze „Miracle“. Miss Nathalie Hammond jest poetką, a zbiorek jej utworów poetyckich zyskał sobie odrazu przychylną ocenę wśród krytyków i publiczności. Miss Diana Cuming zaś należy do kilku stowarzyszeń filantropijnych i, jako kwestarka, obchodzi z puszką domy milionerów — przyjaciół i rywali jej ojca — zbierając datki na rzecz najuboższej ludności Ameryki!

MIASTO, RZĄDZONE PRZEZ KOBIECY.

Amerykańskie miasto Winslow w stanie Arcansos jest chyba jedynym miastem na świecie, rządzone wyłącznie przez kobiety.

Podczas tegorocznych bowiem wyborów do magistratu zwyciężyła lista kobieca, wystawiona przez dziennikarkę, pannę Maud Duncan. P. Duncan została obraną na burmistrza, a wszystkie miejsca radnych miejskich zajęły także kobiety. Rządy niewieście w tem miasteczku miały podobno pociągnąć za sobą znaczne polepszenie stosunków finansowych i administracyjnych.

Z. B.

JACEK MALCZEWSKI

WYSTAWA JUBILEUSZOWA W ZACHĘCIE

Po wystawie jubileuszowej Stanisława Masłowskiego — Malczewski. Obydwaj artyści zaczynają malować w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Obydwaj wychodzą z jednego pnia: z malarstwa rodzajowego, szukającego tematów ludowych i ujmującego je przez pryzmat sentymentalizmu i dalekiego od prawdy literackiego wczuwania się w dolę chłopca. Masłowski zatrzymał się czas jakiś na tej drodze, która poprowadziła go konsekwentnie bez wielkich odchyłeń dalej; Malczewski szybko zmienił kierunek i po niedługich próbach odnalazł własny ster.

Ciekawe są dla zestawienia dwa obrazy: „Grajek” Masłowskiego i podobny temat z roku 1878 u Malczewskiego na obecnej wystawie. Obydwa obrazy powstały przed 1880 r.; przedmiot obrazów pokrewny, lecz jakże różne ich zapowiedzi artystyczne: Masłowskiego krajobraz zadumany, mglisty, zdradza przyszłe malarskie intencje przede wszystkim; większa prostota barw, czystość i pewność linii mówią o mających się rozwinąć talentach Malczewskiego do operowania bryłą i rysunkiem.

Jeden, przeszedłszy przez kapitalny w ruchu i etnograficznie ciekawy „Taniec kozaków” do obiektywnego obserwowania wsi, przyrody, chłopca, jego domu, sadu i pól — jako przedmiotów, nadających się przede wszystkim do utrwalenia barwą, — staje się subtelny malarzem, przemawiającym do naszych zamięłowań kolorystycznych; drugi, po owym rodzajowym obrazku, po mało indywidualnym „Pocałunku Judasza” i po pięknym, stylowym, bardzo rysunkowym portrecie „Pani”) — wchodzi na drogi realistycznego obrazowania martyrologii polskiej, — dając szereg wiernie zaobserwowanych, podszytych uczuciem protestu i rozpaczny obrażonego patrioty — fragmentów z tragicznej drogi na Sybir i życia zesłańców polskich; następnie zwraca się ku przenośni literackiej dla wyrażania tych samych uczuć trwałego i czujnego protestu (Ellenai w wielu odmianach), — jeszcze dalej, odnajduje wieloraki i już dla się charakterystyczny i znamienity symbol, malowany w barwach jasnych, pełnych, świetnych, — a jeszcze dalej wyzwała się niekiedy z pod presji idei i maluje poprostu sad, kwitnący bielą drzew owocowych sad.

Bardzo ciekawą, zygawkową i nierówną jest droga twórczości Malczewskiego.

Wystawa obecna, chociaż niekompletna (wadliwie, z zaniedbaniem układu chronologicznego obrazów, — co przy retrospekcji obowiązuje — urządzona), może jednak dać dobre pojęcie o ewolucji, jaką odbył artysta. Zdumiewa również olbrzymia ilość wykonanych przez Malczewskiego prac: impet twórczy i pracowitość. Cztery sale Zachęty! A przecież to zaledwie część produkcji ar-

tysty: niema tu całego szeregu znanych, ważnych jego dzieł, jak „Nieśmiertelność,” „Skowronek,” „Błędne Koło.” Cykl obrazów, wystawianych niegdyś u Krywulita i t. d.

Ta olbrzymio-bogata działalność artystyczna, na której wyniki dziś w niepodległej Polsce patrzymy, odsłania szereg przesłanek ideowo-uczuciowych, jakie uczyniły z Malczewskiego malarza, tak bardzo z epoką swą, tak par excellence z losami Polski związane. Obecnie już nawet niepodobna rozważać jego pracy bez uwzględnienia imperatywu katerycznego, który kazał mu wybrać drogi tworzenia, zbaczające w stronę, obcą plastyce, w stronę literatury i myślowego symbolu.

W obrazach Malczewskiego znalazła odpowiednik malarski Polska podziemna, Polska, skuta kajdanami, udręczona Sybirem, niemocą czynu, kneblem słowa.

Dla wyrażania najgłębszych tęsknot służyła jej opaczna mowa symbolu, tajemnica niedomówienia, zagadka parafrazy. Poza-tem—świat, sam dla siebie, istnienie proste oddaliły się były od niej; na ich miejsce stanęła męka tragicznych niespełnień, marzenie o sile i ziszczeniu. Mówiąc o Polsce, ludzie w Polsce dodawali: „święta” i „męczennica,” często poprzestając na tem. Stąd do Ojczyzny łzawy i bezczynny stosunek naszych ojców, kult cierpienia naszych młodzieńczych lat i korowody zjaw fantastyczno-sentymentalnych (pogrobownicy romantyzmu), przesłaniających nam barwność świata.

Malczewski podjął ten ton. W młodzieńczym szkicu, przedstawiającym artystę, pogrążonego we śnie czy omdleniu nad moczarami, z których wylaniają się ku niemu tłumy postaci, błagające o pomoc czy o utrwalenie, zdaje się on w sposób literacko-malarski przewidywać własną dalszą twórczość.

Artysta ten przejdzie do historii sztuki, jako najwymowniejszy wyraz skrupowanego niewolę kraju i „warunkami” epoki tworzenia malarskiego.

Prace jego przepełnione są myślą, a nawet naładowane rozsądzającym je często prężeniem się, wysiłkiem ideowym. Walka wewnętrzna z czymś lub o coś, tęsknota, oczekiwanie, nadzieja, smutek, zamyślenie, wspomnienie, budzenie się wiosny i duszy, zagadnienie twórczości i sławy, fatalizm śmierci, jej pozątem spokojna pogoda, przejrzenie ze ślepoty, rozpacz i złamanie, zgroza; — z drugiej strony triumf siły, zaciśnięte pięście, mierzące swą moc (zielona postać anioła w dużej sali), spokojne, świadome swej siły wyczekiwanie (artysta na drabinie, otoczony zjawami) — to jedne z wielu stanów psychicznych, które wyraża Malczewski.

Musiał dla nich znaleźć formę malarską, wziętą ze świata poezji i romantycznego skarbcza.

* * *

*) Powołuję się tu tylko na obrazy, znajdujące się na obecnej wystawie.

Kim stałby się Malczewski, gdyby nie wzięła go wprost upiornie w swe posiadanie sprawa „ziemi, mogił i krzyżów?” Czy zostałby tylko malarzem (o możliwościach tych świadczą pierwsze jego prace, portrety dawne, portrety dzisiejsze i owe rozkwitające sady), czy też upodobałby sobie symbol dla mówienia o innych w sprawach ideowych, obciążających ludzkość? Gdyż — poza owym imperatywem patriotycznym, który przyszedł, jako coś zzewnątrz (epoka, środowisko — historia) musi w indywidualności tej tkwić potrzeba obcowania z ludźmi na drodze myśli.

Środki kompozycyjne Malczewskiego, stanowiące znamienność jego i odrębność, czynią dostęp do jego dzieł trudnym i wklają sprawę prostego odczuwania obrazu. Pomiedzy widza i malarza wciska się ukryta, owinięta w szaty plastyczne myśl artysty, która zmusza do dużego wysiłku, biorąc wiele z bezpośredniości pierwszego spojrzenia.

Rzecz wszakże godna uwagi: oto jesteśmy do tyła narodem słowa, tak bardzo odczuwającym świat poprzez to, co się mówi (tak mało go widzimy), że sposób wypowiadania się Malczewskiego nie trafia dziś w próżnię, przeciwnie nawet, zdaje się zadawać szeroką publiczność.

Atmosfera, panująca na obecnej wystawie w Zachęcie, mówi o satysfakcji, przyzwoleniu, a nawet aplauzie dla takiej sztuki ze strony zwiedzających. Rebusy Malczewskiego, uważane za dziwactwa, szaleństwa i potworności przed kilkunastu laty — dziś, gdy nowa sztuka stała się „potworną,” „niezrozumiałą” i „szaleńczą” — znajdują uznanie, i most zgody pomiędzy artystą, a patrzącymi zostaje dość łatwo przerzucony.

Przez swą literackość Malczewski jest bardzo polakiem.

Rozważana dzisiaj sztuka Malczewskiego posiada już perspektywę historyczną, należy w znacznej mierze do wczorajszego dnia. Jako taka, wiele mówi o tym, dla których we wczesnej ich młodości była jednym ze źródeł poznawania. Jej niepokojąca zawilgość i upajająca zagadkowość była bodźcem do rozwoju, orzechem, trudnym do zgryzienia, — splatając się przytem w sposób szczególny z całością tajemnic podziemnego życia Polski, pełnego wzniosłości, polotu, wysiłku i specjalnej grandezzy duchowej.

Obrazy Malczewskiego, jak pisma i książki: „Chimera,” „Życie,” „Prawda,” „Głos,” Żeromski, Wyspiański, Kasprzowicz, Przybyszewski, Berent — dzieła o tak różnych metodach twórczych, — stanowiły ten świat „piękna i dobra,” nie dającego się żadnej przemocy, dobra, świadczącego o sile jednostek i narodu.

Czar, który owiewał „Nieśmiertelność,” „Zawczasie,” „Tobiasza,” „Thanatos” i owe chimery skrzydlate o brutalnych ciałach pół-kobiet, pół-tygrysic, znęcających się nad artystą i jego marzeniem, urok owego tak literackiego „Artysty i Sławy,” owego „Błędne koło” — pochodził z rewelowania głębin życia duchowego i władzy wy-

tworzenia kręgów myśli, wybiegających poza kres horyzontu.

Dziś, patrząc na wyniki pięćdziesięcioletniej pracy wielkiego malarza, oceniamy ją przez porównanie ze sztuką obecną. Wyraźny zwrot do sztuki czystej, podniesienie wartości zespołów barwnych, rozwiązywanie zagadnień koloru, kształtu, linii, bryły, skierowanie się ku prymitywizmowi, torowanie malarstwu drogi do używania własnych sposobów i środków — to sztuka dzisiejsza. Malczewski odbija od niej przeładowaniem ideą i raziłby nawet, gdyby nie był równocześnie doskonałym malarzem, świadomym swej techniki posiadaczem.

Malczewski ma rzeźbiarsko-mocną rękę. Postacie jego wypukłością swą wychodzą poza obraz (z punktu widzenia malarzkiego — wada). Zarysem śmiałym ujęte, nie toną, nie rozplývają się w świetle. Realista w ujmowaniu człowieka nadaje twarzom zdecydowany i bardzo wieloraki wyraz, a postaciom gest i ruch. Posiadając umiejętność wypracowania szczegółu, często jednak nie poświęca mu wiele uwagi, przenosząc punkt ciężkości na psychologię tematu. Krajobraz traktuje, jako akcesoryjne uzupełnienie, nadające nastrój głównym postaciom. W rozmieszczeniu postaci głównych ucieka się często do pierwszoplanowości i frontalności; figury wtórne są ledwo szkicowo zaznaczone i zaniedbane.

Bryłowatość postaci, dobre ich skomponowanie, wyraźne akcentowanie momentów zasadniczych, czynią sztukę Malczewskiego monumentalną, mocną i męską. Sentymalizm i patetyczność pierwszych utworów przeistacza się w realizm i naturalizm Mantegnowskiego. Doskonale i karkołomnie trudne skróty każą również myśleć o tym artyście, jak i pewna sztywność metalowa postaci.

Możnaby sądzić, że intencje Malczewskiego, jako malarza, idą głównie w kierunku kompozycji, w której osiąga coraz większą celowość i zwartość. Jedne i te same motywy powtarzają się u niego często, jakby dążył do coraz doskonalszego ich rozwiązywania. Poza tym rytmiczne ich powtarzanie się potrzebne jest ze względu na cykliczną budowę niektórych „poematów” malarzskich. Kobiety u Malczewskiego (używał wciąż prawie jednego modelu) są to wielkie, bez wdzięku virago, wielkie, jakgdyby w podskórnych gorsetach. Twarze ich są mało indywidualizowane, postacie — brutalne. Portrety męskie — ciekawe i mocne; postacie męskie wogóle traktowane z predylekcją i dużą skalą zróżniczkowania.

Twórczość Malczewskiego jest nierówna; wartość dzieł bardzo rozmaita, — czasem dziwią takie zbyteczności, jak owo nadmiernie wielkie pole szkieletów, służące za tło postaci człowieka, którego prowadzi Chrystus.

Udręczony starzec, powracający sybirak, powtarza się, jak ton przewodni. W dwóch „powrotach” wystawy obecnej witany przez Życie brutalne, jurne, zdrowe, radością i drwinami tchnące — raz odwraca się ku niemu, mając jeszcze w sobie niewygasłe siły vitalne, drugi — przechodzi mimo, nie podnosząc głowy, gdyż jest już tylko resztką ludzkiego fizycznego bytowania.

Interesująca jest ewolucja barwy w tem wieloletnim dziele od barw brunatnych, ciemnych, do jasnych zespołów zieleni, niebieskości, czerwieni, różu, granatu i złota.

Malczewski operuje barwą spokojną, nie rozkładając jej na plamy i części składowe, natęża i wzmacnia wrażenie koloru za pomocą światła i cieni.

Nie barwa jednak jest najmocniejszym środkiem Malczewskiego — pomimo wyraźnego do niej zmierzania i coraz śmielszego zestawienia kolorów gwałtownych.

Poeta i rzeźbiarz walczą w nim o lepsze z malarzem „czystym.” N. Samotyłowa.

Z TEATRÓW



TEATR POLSKI

„Wielka Księżna i chłopiec hotelowy” — Komedja w 3 aktach *Alfr. Savoir*. Reż. A. Węgierko, Dekoracje *St. Śliwińskiego*.

Warszawa bawi się doskonale na komedji francuskiej, osnutej na tle życia emigracji rosyjskiej (O, niemiłosierna, o, żelazna prawico, która przewracasz karty dziejów narodów). Autorowi „Wielkiej Księżnej” nie zależało oczywiście na ścisłości historycznej, ale jeżeli życie utytułowanej emigracji rosyjskiej nie tak znów bardzo odskakuje od tego, co ogląda-

liśmy w komedji *Savoir*, to... tem gorzej dla owej wielkoksiażącej rzeczywistości.

W Moskwie carów panuje Trocki, a wnuczka Katarzyny II, W. Księżna Ksenia, która cudem uszła z bolszewickiego potopu — mieszka z księciem Pawłem i narzeczonym swym, W Księciem Piotrem w Onchy, gdzie resztki sprzedawanych biżuterji pozwalają prowadzić wystawny tryb życia.

Jednak biżuterje kończą się i kończy się długi szereg pomysłów W. Ks. Piotra, zdobywającego gotówkę we wszelaki sposób, przewidziany i nieprzewidziany w kodeksie karnym. Coraz częściej portfele książy krwi świecą pustkami, a majestat cesarski narażony jest na tysiące upokorzeń. Pięknej księżniczce nadskakuje w beczelnie śmiały sposób zawadjacki i posyły w niej zakochany chłopiec hotelowy.

Sprawa byłaby prosta, gdyby nie to, że i do serca księżnej wkradła się miłość! O, temporal! Gdybyż owym chłopcem był — jak to na razie przypuszczała księżna — szczer hotelowy, złodziej w wielkim stylu! Niestety chciało, że chłopcem tym jest syn prezydenta republiki szwajcarskiej, odbywający incognito praktykę w hotelu. Tego upokorzenia wnuczka carów znieść nie może. Po trzech latach Ksenia zostanie właścicielką kabaretu, a księżęta krwi przypaszą fartuchy lokajskie. Trzeba się zabrać do pracy, trzeba zdobywać gotówkę: — księżęta i księżniczki, generałowie i damy dworu zarabiają — jak umiają, — usługując gościom w kabrecie, pisząc rachunki za sute kolacje (nawiasem mówiąc niezawsze zgodne ze stanem faktycznym), słowem — robią złoty interes i „zbijają” grubsze tysiące franków szwajcarskich. Pogląd na świat Kseni o tyle ulega zmianie, że już potrafi pięknemu chłopcu hotelowemu darować republikańskie pochodzenie za cenę jego zawadjackiej młodości no i owych dwunastu hoteli papy prezydenta. To też, gdy kurtyna zapada, księżna osuwa się w otwarte ramiona uroczego szwajcara.

Pancewiczowa, jako Ksenia, jest tak piękna, że trudno dziwić się, iż w ogniu jej spojrzenia, topnieją republikańskie przekonania młodego chłopca hotelowego. Dziwić się tylko należy, że tak dobry aktor, jak pan Warnecki, podjął się roli chłopca hotelowego, nie posiadając warunków zewnętrznych, bez których ta właśnie rola nie da się pomyśleć.

Pp. Łuszczewski i Neubelt, jako wielcy księżęta, i p. Słubicka, jako hr. Awałowa, byli doskonali.



ELEGANCKIE FARTUSZKI



rys. 1



rys. 2

czek, pewni, że z resztek, pozostałych op letnich sukien, każda potrafi i zechce sobie któryś



rys. 3

Fartuch nie zawsze jest synonimem roboty, przy której trzeba się usmolić, i środkiem do ochrony sukni przed tem właśnie usmoleniem, lub poplamieniem.

Oprócz „fartuchów” — istnieją jeszcze „fartuszki”, zwiewne cacka, używane do osłonięcia przodu sukni, dla nadania jej intymnego, domowego charakteru, a nieraz nawet przez kokieterję i chęć dyskretnego zaznaczenia swej roli pani domu i dobrej gospośki.

Kilka takich fartuszków podajemy do użytku naszych czytelników.



rys. 4 i 5

z nich uszyć. Rys. 1 i 3 to fartuszki zrobione z barwnego deseniowego kretonu, lub satyny, pierwszy przytem jest objęty gładkim materiałem, odpowiednim do deseni na kretonie.

Rys. 2 to fartuszek z opalu lub organdyny, z falbanką, przyszytą mereżką maszynową.

Rys. 4 z gładkiej, kolorowej satyny — objęty pasem deseniowego materiału, i wreszcie rys. 5 z markizety lub crêpe de chine'u z motywem filet, wszytym w bawecik i wiązany na aksamitkę, odpowiednią w kolorze.

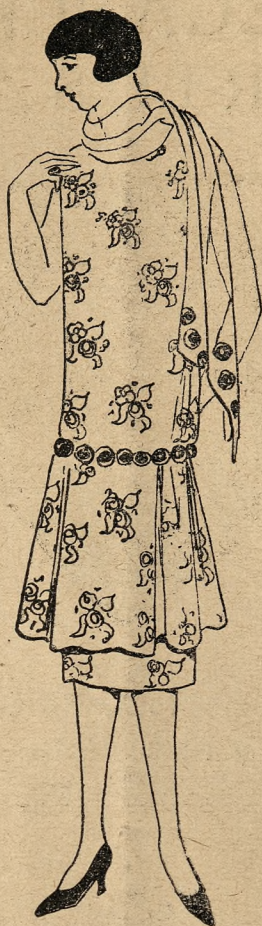
SUKNIE BARWNE I KWIECISTE

Paryż w lipcu.

Zastanawiam się nieraz, dlaczego w Paryżu, nawet w czasie największych upałów, w godzinach popołudniowych pozostajemy wierne kolorom czarnym: granatowym, popielatym lub beige, i choć niejedna z nas wie, że barwy żywe są jej bardzo do twarzy, bez szemrania idzie w jarzmo dobrowolnie uznanej dyscypliny—dlaczego—doprawdy nie wiem, a jednak fakt jest faktem.

Natomiast po za Paryżem, u wód, w górach czy nad morzem bierzemy odwet, porzucając kolory ciemne i oddając się zupełnie oślepiającej bieli, barwom żywym, nawet jaskrawym. Nosimy czerwony, rakowy, żółte i pomarańczowe o ciepłych odcieniach, zielony, przypominający niedojrzałe jabłko, i inne kolory, które w tysiącnych zestawieniach i kombinacjach grają w słońcu bajeczną gamą barw.

Aby zaspokoić słuszną Waszą ciekawość, miłe Czytelniczki, zwiędziłam najwykwintniejsze i najbardziej uczęszczane plaże nad Oceanem i w Bretanii i chcę Wam opowie-

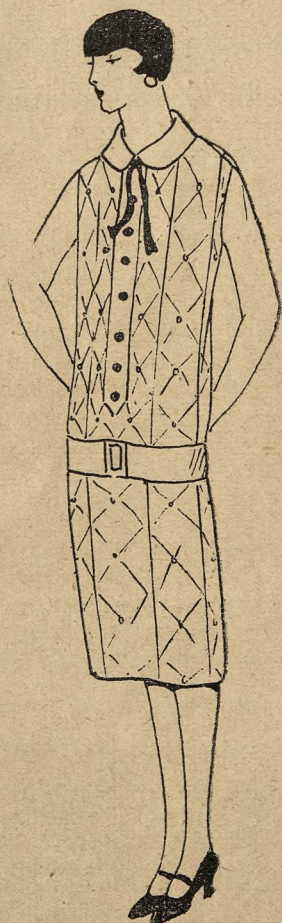


Rys. 1

o delikatnych barwach. Dla podniesienia efektu niektóre kwiaty zahaftowane. Tył sukienki gładki, prosty, z przodu fartuszek, trochę krótszy, jak suknia, kloszowy i przyściśnięty pęczkami kwiatów, misternie ukreślonych z aksamitki i przypominających kolorem i formą bukiety na materiale. Dotego szal szeroki, a miękki z georgette'y lekko kremowej, objęty plisą z tego materiału, co suknia.

Druga — to suknia z kreponu w trzech kolorach—czarnym, ponsowym i jasno żółtym. Deseń stanowiły kraty i gwiazdy, złożone z prążków ponsowych i czarnych, na jasno żółtym tle. Mały kołnierzyk pensjonarski z białego crêpe de chine'u, zakończony węzłem z czarnego jedwabiu, szeroki pasek z białego zamszu, kilka fałd na każdym boku i kruciuteńkie rękawki — oto elegancka i pełna prostoty toaleta — stworzona dla brunetek o matowej cerze.

Trzecia suknia niemniej ładna, choć ze skromnego bawełnianego kreponu zrobiona. Na białym tle podłużne paski cytrynowe, lavende i ponsowe, drukowane na materiale, a w poprzek haftowane także paski różowe, cytrynowe i ponsowe. Sukienka prosta z marszczo-



Rys. 2

dzieć, co w pełni lata i słońca noszą i nosić będą w tym roku.

Widzi się dużo deseniowych kretonów, które i w zeszłym roku były modne, ale „clou” tegorocznego sezonu, to krepony, crêpe de chine'y, crêpe marocain, crêpe georgette — wszystkie deseniowe. Sukienki proste, gładkie, strojne jedynie przez bogaty i barwny deseń materiału, a przybrane misternie plisowanym żabotem lub plastronikiem z muslinu albo georgette'y i szerokim białym zamszowym paskiem. Rękawki króciutkie, właściwie złudzenie rękawków — wykończone, odpowiednio do żabotu — mankiecikami lub plisowaną falbanką.

W barwnych deseniach kaprys tegorocznej mody stawia kolory pastelowe — różowy, lila, lavende, seledynowy obok najżywszych i najostrejszych i trzeba być ostrożnym i doświadczonego znawcą swej powierzchowności, aby w tym bogactwie barw i wzorów wybrać to, co najbardziej odpowiada naszej figurze i urodzie.

Spróbuję Wam opisać kilka sukien, które zwróciły moją uwagę, a więc przede wszystkim sukienka z crêpe georgette koloru lekko kremowego w bukiety kwiatów,



Rys. 3

nym fartuszkim z przodu i przybrana tylko ponsowym skórkowym paskiem i kokardą z ponsowej wstążeczki przy wycięciu, stanowiła całość wykwintną i szlachetną w linji. Na „garden parties“ i letnie zabawy noszone są bardzo w tym roku suknie z tafty deseniowej lub haftowanej, najczęściej w kratę. Przybrane masą drobnych falbanek na przodzie spódniczki lub układane w drobne albo większe fałdy, suknie takie są tem skromniej zrobione, im bardziej deseniowy i bogaty jest materiał. Nie zapomniano też zupełnie

o sukniach z białego lub kremowego haftu, które w tym roku



znów wracają do mody, a są zawsze ubraniem strojnym, a zażem skromnem, odpowiedniem na każdym letnisku.

Suknię taką można zrobić prostą, od dołu i od góry zakończoną haftem lub, jeśli się ma dużo haftowanego materiału, ślicznie wyglądająca zrobiona stylowo ze staniczkiem, spadającym z ramion, i suto namarszczona w biodrach. Do takiej toalety biały lub czarny kapelusz, przybrany kwiatami z rondem, rzucającem cień na młodą buzię, będzie stanowił zachwycającą całość.

Hrabina Annie.

MODA NA SCENIE

Lato. Lekkie letnie sztuki, lekkie letnie suknie. W „Małym“ „Niedojrzały Owoc“. Berło toalet trzyma pani Helena Sulima w roli dojrzałej, lecz pięknej awanturnicy, wyruszającej na podbój serc. Jej negligé z georgette'y cyclamène, skarbowanej na bokach z szeroką srebrną koronką, jest arcydziełem kokieterji i dobrego smaku. Nic tak pięknie, a zarazem dyskretnie nie modeluje kształtów, jak karbowana georgette'a, to też nikt z widzów nie dziwił się staremu lordowi Hardicap, że stracił głowę, dla kobiety tak pięknie ubranej. Równie pięknie i efektownie wyglądała pani Sulima w sukni z lśniącego jedwabiu koloru ciemnego złota z ukośnym fartuszkim, zakończonym szlakiem z pstrego haftu. Śliczna linja ostrego dekoltu dowcipnie przedłużona maleńką kamizeleczką z cielistego ninou. Bardzo oryginalna była suknia z marocain białego w czarne i ceglaste desenie. W obcisłe od góry fourreau na wysokości bioder winkrustowane trójkątne kliny tworzą dół mocno kloszowy i falujący. Każdy klin jest obramowany czarną morową wstążeczką, dół sukni zakończony wąską frendzlą ze strusich piór. Na tę suknię wkłada pani Sulima, wyjeżdżając na po-

szukiwanie zaginionego dziecka, obcisły angielski płaszcz koloru piaskowego z wyłogami ceglastymi i niewielki ceglasty kapelusik z błyszczącego jedwabiu. Panna Modzelewska, „Niedojrzały Owoc“, uszczęśliwia swą piękną mamę niespodzianą wizytą w płaszczu ciemno brunatnym, zahaftowanym kolorami fox trot i beige. Na głowie ma filc beige z pęczkiem strusich piór. Dowiedziawszy się, że przybyła nie w porę, przebiera się coprędzej za małą dziewczynkę w śliczną błękitno popielatą sukienkę, całą złożoną z falbanek, wycinanych w okrągłe zęby. Bardzo ładny pomysł na ubranie trzynastoletniego podlotka.

Następna dziecinna sukienka z różowej organdyny, niezgrabnie namarszczona pod pachami i ze szlakiem, malowanym w owoce i zwierzęta, jest nieładna. Bardzo zresztą na miejscu wobec groteskowości pomysłu przebrania dorosłej panny za dziecko, ale prawdziwych dzieci tak ubierać stanowczo nie należy. W ostatnim akcie panna Modzelewska przebiera się z widoczną przyjemnością w rozkoszny ponsowy peniuar, prześliczny w barwie i kroju. Szeroka złota koronka tworzy z przodu bertę, a z tyłu wspaniałą tren.

Z pod ponsowej przepaski na głowie wymyka się olbrzymia ilość jasnych loków, tworząc dla wdzięcznej towarzyszkii panny Modzelewskiej bardzo twarzowe obramowanie. Nie radziłabym jednak czytelniczkom naśladować tej oryginalnej fryzury, gdyż przypomina ona ogromnie galowe uczesanie jakiegoś bohaterskiego wodza papuasów.

Panna Seweryna Broniszówna w roli starej angielskiej lady może nauczyć sztuki stosownego ubierania się niejedną damę z naszego świata. Na piaskowej sukni półdługi kloszowy płaszcz z kretów, fioletowy kapelusz z fioletowem strusiem piórem, szal na szyi przepięknie odcinają się od srebrnych włosów, tworzą całość wytworną i niepospolitą. Czarna obiadowa suknia, zapięta pod szyją, z tiuniką, inkrustowaną białym pasem, przybrana wielką brylantową klamrą, jest również bardzo dystygowana i efektowna.

Panna Zofja Olszewska, w roli sztywnej panienci z angielskiej arystokracji, miała białą jedwabną sukienkę z tiuniką, obramowaną szeroko białem futrem i barwną gałązką przy pasku.

W. Z



ARTYSTYCZNE ROBOTY ZE SKÓRY

CHOREOPLASTYKA

III.

PODUSZKA

Wykrając dwa jednakowe kawałki skóry, (najlepiej cielęcej), wymiaru 34×50 centymetrów. Na jednym z nich skalkować w wiadomy sposób rysunek, pogłębić go i umieścić skórę na plastelinie. Ponieważ skóra jest większych wymiarów, niż deseczka, którą rozporządzamy wypadnie nam opracowywać ją dwa razy, najprzód położywszy jedną połowę rysunku na deseczce z plasteliną, a potem drugą, utrzymując już opracowaną połowę ciągle w stanie wilgotnym. Lepiej jednak byłoby rozwałkować plastelinę na zwykłym stole, tak, ażeby cały rysunek się zmieścił; wtenczas unikniemy zdejmowania w trakcie roboty, przy którym narażamy opracowaną część na pewne rozciągnięcie. Tak samo i wygładzanie tła może się odbyć na



Chcąc mieć powierzchnię bardziej urozmaiconą, można wybić tło specjalnem narzędziem, o którym była mowa poprzednio.

Po skończeniu barwienia, złożyć obydwa kawałki skóry razem i wyciąć dziurki.

Dłuższe brzegi zeszyć rzemieniem pod wójną okrętką; zaś krótsze po włożeniu

stole, albo, co lepiej, na odpowiednim kawałku szyby.

Co do zabarwienia skóry, czytelniczki znają już sposoby barwienia za pomocą kwasów, — mogą więc dowolnie obrać sobie jeden z nich. Pozatem, są w sprzedaży specjalne farby do skóry z dodanym do nich przepisem. Nie polecam ich jednak, ponieważ są to farby anilinowe, a więc nietrwałe. Przytem dają kolory jaskrawe, nie harmonizujące z naturalnym kolorem skóry.

w skórzaną pochwę odpowiedniego rozmiaru poduszki, zaszyć równym, zwykłym ściągciem i naciąć frendzlę.

Jeżeli skóry jest mało, można spod poduszki zrobić bez frendzli czyli wyciąć kawałek o tyle mniejszy. Frendzle będą mniej sute, ale dużo skóry się oszczędzi.

Można też dowolnie powiększyć długość frendzli, — to są rzeczy do uznania wykonawczyni roboty.

ROZMOWA

Miedzy czasownikami „mówić“, a „rozmawiać“ leży przepaść!

Jeżeli znane przysłowie głosi:

„Mowa jest srebrem, a milczenie złotem“, łatwo aprobatę krytycznego ogółu zyska twierdzenie, że umiejętna rozmowa jest niezaprzeczenie diamentem w tej szkatułce z kosztownościami, którą dzisiaj otworzyć pragnę.

Stosunki z ludźmi wogóle, a towarzyskie w szczególności, nie polegają jedynie na zawiązaniu ale głównie na podtrzymaniu ich, które wcale nie jest tak łatwem, jakby się zdawało! Przeciwnie, przedstawia sobą całą gałąź umiejętności życiowych, często wrodzonych lub wyniesionych z domu czy środowiska, w jakim wyrastamy, albo też wy-

studjowanych i nabytych za cenę pracy, czujności i mozołu.

W zdobyciu sobie popularności towarzyskiej, a z nią i opinii osoby miłej i atrakcyjnej, największą pomocą jest nam niezaprzeczenie dar prowadzenia i podtrzymywania rozmowy. Subtelne wyczucie tematu, jaki dane środowisko zainteresować może, rzutkość i pewna błyskotliwość z domieszką dowcipu, wolnego od sarkazmu i złośliwości, dar nie potrącenia nigdy fałszywej struny, są bezwzględnie talentem wrodzonym i współzawodniczyć z osobami o tak bezcennej iskrze Bożej nie warto. Lepiej być im tłem, harmonijnym akompanjamentem, niż stracić na porównaniu i zostawić za sobą posmak miernoty i przeciętności.

Kobieta ze swoją wielką wrodzoną subtelnością, darem asymilacyjnym i sprytem, może, nawet w braku wrodzonych talentów, zająć bardzo daleko na drodze towarzyskiego wyrobienia, kosztować ją to będzie, bezwzględnie, dużo trudu i pracy, jednak dobre skutki są pewne.

Pierwsza rzecz, jakiej wystrzegać się trzeba najstaranniej, to rozmowy o samej sobie. Temat ten winien być raz na zawsze skazany na banicję.

Nie wolno zapominać, że nasze przeżycia, sukcesy, zawody, radości i troski, nawet bardzo bliskim narzucane nużą, a w obcych słuchaczach jedynie niesmak i nudę wywołać są zdolne.

Rozmowa taka jest karygodna na równi z pójściem na pogrzeb

z paczką w ręku lub odwiedzeniem kogoś w imieniny z wiązką kwiatów, nie dla niego przeznaczoną.

Nie znaczy to, aby osoby, z natury swej do zwierzeń skłonne i potrzebujące, jak kwiat słońca, czyjegoś życzliwego zainteresowania, dobrej, a wyrozumiałej wnikliwości w krąg spraw ich i przeżyć, mały być skazane na wieczne milczenie. W przelotnych jednak znajomościach, wzgromadzeniu osób tylko znaniom, a nie żytych z nami bardzo serdecznie, nie wolno nigdy szukać terenu dla spraw osobistych.

Druga, niemniej konieczna zasada, to wystrzeganie się krytyki drugich. Jest to miecz obosieczny i pamiętajmy, że rzadko kiedy ten nieobecny, a za przedmiot rozmowy służący, pozostawiony będzie w nieświadomości słów naszych. Czyjaś wielka życzliwość postara się o to, aby słowa nasze w odpowiednim tonie i czasie powtórzyć. Stąd krok do zdobycia sobie nieprzyjaciół, nawet gdy intencje nasze dalekie były od ujemnego nastoju.

Jak nieznośnemi wydają nam się zawsze osoby, które w fałdach swych sukien wnoszą jakiś minorowy ton wszechniezadowolenia i troski. Jeżeli idziemy do ludzi lub przyjmujemy ich u siebie, winniśmy im choć trochę słoneczności i wytchnienia.

Pamiętam straszny refrain doby wojennej, kiedy w każdym większym czy mniejszym gronie wrzeczano i tylko wyrzekano na wzrost cen, trudności warunków życiowych. To, co było, jest i przejdzie musi! Nikomu nie przyszło na myśl, że rzadka chwila towarzyskiego zjednoczenia winna krzepić i działać, jak ożywczy promień, co, wyglądając z za chmur, rozświećla ścieżkę życia. W zetknięciu z codziennością tak już mamy wszyscy dosyć małych trosk i ich dokuczliwości, że eliminować je trzeba z naszych towarzyskich spotkań.

Dlategoż, przeceniając niejednokrotnie kwestję wyglądu zewnętrznego pozbawiamy się miłych chwil kontaktu z ludźmi w imię nie posiadania odpowiedniej na dany występ toalety, a idziemy tak łatwo między ludzi bez najmniejszego przygotowania duchowego? Strojni w godową szatę, bagatelizujemy to, co przyniesie im ze sobą słowo nasze, myśl, duch rozmowy, przez nas poprowadzonej.

Wystrzegać się musi nadewszystko każda z nas zbytnej i bezmyślnej gadatliwości, którą nam

kobietom, słusznie czy niesłusznie zarzucają. Milczenie oddaje nie raz stokroć cenniejsze usługi, niż wymowa.

Rzadko o zręczność lawirowania w niezbyt nam znanym temacie, zręczność, która nie skończyłaby się porażką. Umiejętność milczenia nie grozi niczem, przeciwnie, użyta w porę, dodaje pewnego uroku, uroku, jakim się cieszy wszystko nieodgadnione i zlekka tajemnicze.

Zdarza się często, że w rozmowie padnie niebaczne słowo, że fakt, nad którym proste poczucie taktu i dobrego smaku każe przejść do porządku dziennego, nie widzieć i nie słyszeć w porę, jest szczytem wyrobienia towarzyskiego.

Język francuski ma na określenie takiego konfliktu niezastąpiony wyraz „une gaffe”. Otóż takich „gaffes” wystrzegać się trzeba najstaranniej pomnąc przytem, aby myśl poprzedzała zawsze mowę, a nie odwrotnie.

Zanim padnie z naszych ust słowo lekkomyślne, przypomnijmy sobie że: „Chryzantem, co spadł, nie wraca na krzew,” i że żadna siła Boska, ani ludzka nie cofnie słów, słów, niebacznie wymówionych, i następstw ich, niejednokrotnie tragicznych. Pracując nad sobą, a nadewszystko chowając młodych, nie bagatelizujmy nigdy tej „niby” powierzchownej oglady, która tak bardzo prostuje ścieżkę życia, a przytem jest nam pomocną w zdobyciu jednego z poważniejszych atutów, t. zw. „miru u ludzi”, który jest siłą i urokiem wielkim.

W dodatku ta „powierzchnowa” oglada, to wyraz kultury ducha, a w rzędzie plusów, jakie zostawimy po sobie, bodaj czy nie ważniejsza i cenniejsza nad odsetki od kapitałów, gromadzonych z myślą o tych, co przyjdą po nas. D.



WPLÝW SPULCHNIA-NIA POWIERZCHNI ZIEMI

Umiejętne gospodarowanie zasobami wody, gromadzącymi się w ziemi z opadów atmosferycznych i tającego na wiosnę śniegu, stanowi często o wyniku hodowli i decyduje o bogactwie plonu. We wskazówkach, dotyczących polewania, wspominaliśmy już, że ilość wody, otrzymywana z opadów, powinna być wystarczająca na potrzeby roślinności w naszym kraju, gdyby ona mogła pójść w całości na ten użytek. Niestety, wiele jej ginie, uchodząc z powrotem w powietrze pod wpływem suszących wiatrów i gorących promieni słonecznych.

Żeby odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób tym stratom przeciwdziałać albo przynajmniej możliwie je ograniczać, musimy zdać sobie sprawę z budowy ziemi i wynikających z tej budowy konsekwencji.

Rzecz ogólnie wiadomą jest, że ziemia składa się z niezliczonych cząsteczek, drobniejszych lub grubszych, a więc przylegających mniej lub więcej ściśle do siebie. Pomiędzy temi cząsteczkami snuje się olbrzymia sieć kanalików, bardzo wąskich, często niedostrzegalnych dla gołego oka, t. zw. kanalików włoskowatych. Jeżeli sięgniemy teraz pamięcią do fizyki i uprzytomnimy sobie doświadczenia z rurkami różnej średnicy, wstawionymi do naczynia z wodą, to będziemy wiedzieli, że w rurkach o większym przekroju woda zatrzyma się na nieznacznej wysokości ponad poziomem płynu w naczyniu, a im rurka będzie cieńsza, tem wyżej podniesie się pod wpływem przyciągania przez ścianki naczynia.

Otóż sieć kanalików w ziemi jest siecią naczyń włoskowatych o wielkiej sile ssącej, wskutek mikroskopijnej ich średnicy. Zapasy wody, nagromadzone w głębszych warstwach ziemi, podciągają wskutek tego ku powierzchni, a z otwartych u wierzchołka rurek uchodzą w postaci pary wodnej w powietrze.

Tak się dzieje w ziemi uleżącej, zdeptanej albo pokrytej skorupą czyli zasklepionej pod wpływem deszczów lub polewania. Im bardziej ziemia jest zbita, tem kanaliki są drobniejsze i podciąganie wilgoci z głębi odbywa się energiczniej.

Jakże więc zapobiec parowaniu wilgoci?

Sposobem, znanym powszechnie, jest nakrywanie powierzchni ziemi nawozem, liśćmi, igliwem albo innym materiałem powstrzymującym dostęp powietrza i promieni słonecznych.

Trudno jednak cały ogród czy pole nakryć warstwą izolacyjną. Więc zamiast brać ją z zewnątrz, możemy ją wytworzyć na miejscu, spulchniając powierzchnię ziemi.

Jeżeli wierzchnią warstwę ziemi na grubość 2-cm. poruszamy odpowiednimi narzędziami i pozostawimy w postaci grunkowatej (nie sproszkowanej), to powstaną w niej szczeliny znacznie większe, niż w zleżalej warstwie spodniej. Podsiąkająca z głębi woda nie będzie mogła z tych drobnych, włoskowatych kanalików przeniknąć do obszerniejszych i zatrzyma się tam, gdzie się zaczyna warstwa pulchna.

Prawda, że ta ostatnia wyschnie bardzo szybko, ale stanie się osłoną równie skuteczna, jak nawóz, liście, igliwie it. p. Wystarczy ją odgarnąć, żeby pod nią znaleźć ziemię, nasyczoną wilgocią nawet w okresie suszy i upałów. Spróbujmy w takiej ziemi kopać, a przekonamy się, że w podglebiu będzie wilgoci podostatkiem.

Dla porównania przeprowadzimy próbne kopanie na zdeptanej ścieżce, na zaniedbanym zagonie albo na zielonym ugorze, tratowanym przez krowy, napróżno szukające tu pożywienia. Powierzchnia ziemi będzie mniej lub więcej zawierała wilgoci, ale im dalej w głąb będziemy kopali, tem suchsze napotkamy warstwy, z których woda została doszczętnie wyszana.

Więc choć to w pierwszej chwili może zakrawać na paradoks, jednak bardzo cenną jest wskazówka: im lato jest suchsze i bardziej upalne, tem częściej należy spulchniać powierzchnię ziemi! To jest najtańsza i najskuteczniejsza metoda walki z posuchą. Tańsza znacznie od polewania obfitego, a skuteczniejsza od polewania skąpego.

Pozatem spulchnianie ziemi ma jeszcze inne cenne zalety: ułatwia dostęp powietrza i ciepła do głębszych warstw ziemi, a więc i do kerzeni, co sprzyja bardzo rozwojowi roślin. Stacje doświadczalne głoszą oddawna, że trzykrotne spulchnianie jest warte tyleż, co jednokrotne nawożenie. Częste spulchnianie zapobiega też pojawianiu się chwastów i sprzyja wytwarzaniu się pożądanej, gruzelkowej budowy gleby.

Do płytkiego spulchniania można użyć różnych narzędzi: ostrych grabi żelaznych, motyczek ogrodowych, z jednej strony pełnych, z drugiej wybiegających w 3 zęby, amerykańskich spulchniaczy „Nore-ross” albo „Planetów”, ręcznych lub konnych różnej budowy, zależnie od rozmiarów plantacji. Praca

jest lekka, idzie szybko, więc bez wielkiego nakładu trudu i kapitału można ją powtarzać, ilekroć się powierzchnia ziemi zasklepi.

A dodatni wpływ takiego postępowania ujawni się w niedługim przeciągu czasu.

Stan. Schonfeld

SYMFONJA DOMOWA

W zimie czy w lecie, na wiosnę, czy na jesieni, codzienne gospodarskie kłopoty, myśl o potrzebach domowych i najtrudniejsza sztuka rozporządzenia zawsze dziś za malymi, w stosunku do potrzeb środków, zlewają się w jeden wielki akord, zbyt często, niestety, dysonansów pełen. Tylko bardzo mądre rozłożenie zajęć, użytkowanie każdej chwili, szczegółowe ułożenie budżetu, najdrobiazgowsza oszczędność mogą nie zmienić tego, co nazwałam symfonią — w kocią muzykę. Błędnie lekceważona i przez nikogo nie doceniana praca domowa, potrzebuje nie tylko wszechstronnego przygotowania, ale i sprytu, zmysłu organizacyjnego, dużej wytrwałości, a przede wszystkim doświadczenia — na które składają się lata. Zbyt krótkie życie człowieka nie pozwala mu użytkować należycie własnego, cały rozum w tem, aby wykorzystać doświadczenie cudze, skrzętnie zbierać jego owoce, przyswajając je sobie i starać się nie być „mądrym po szkoldzie”. Bagatelna nieraz wskazówka nasunąć może pomysł upraszczający niejedną pracę, zmniejszający niejeden wysiłek. Weźmy np. chwilę obecną — wakacje — ten magiczny wyraz co radością przejmie młodzież i dzieci — a ileż trosk, kłopotów i bezsennych nocy dla matek bywa przyczyną, zwłaszcza jeżeli budżet ich nie znosi żadnego zachwiania równowagi. Kto jest tak szczęśliwy, że może umieścić się w pensjonacie, ten nie rozumie nawet, ile kłopotu sprawia gospodarstwo prowizoryczne na letnim mieszkaniu. Nie mówię już o zawsze niedostatecznym urządzeniu mieszkania, bo wynagradzają je łąki i lasy otaczające, gdzie dnie całe spędzać możemy. Jedną z przykrzejszych rzeczy — to niemożność nie tylko dostania dobrych produktów, ale i przechowania ich. Mięso wołowe dobre jest pokrajać na kawałki, ułożyć w kamiennym garnku, nakryć szczelnie kawałkiem gęstego płótna, nałożyć na nie na palec grubo suchej mialkiej soli — przesyłać ją warstwą na trzy palce grubo utłuczonego węgla drzewnego i wynieść do chłodu. Zdrowiej

jednak żyć się w gorąco owocami, jarzynką, nabiałem, którego zalety łatwo poznać, następującym gospodarskim sposobem. Kroplę mleka puścić na paznokieć, jeżeli stoi na nim, nie rozciekając się, mleko jest pełne, jeśli ścieka po palcu niebieskim strumyczkiem, to dowód, że mleko zbierane. Mieszkańcy miast z trudnością przyzwyczajają się do czerstwego pieczywa; aby odświeżyć takowe, trzeba stary chleb i bułki włożyć do głębokiego kamiennego słoja, zawiązać szczelnie i wstawić w większe naczynie, pełne wody; jak się kilka razy zagojuje, wyjąć i używać, powtarzając tę czynność tak często, jak tego zajdzie potrzeba, a chleb będzie jak świeżo upieczony.

Katusze poprostu sprawiają niezahartowanym na ich ukąszenie — komary. Aby uniknąć nieznosnego swędzenia, posmarować całe ciało octem — umoczoną w occie gąbką, zawiesić koło łóżka lub poza haczać gałązki świeżych konopi, których zapachu nie znoszą wszelkie owady; dobry jest także płyn następujący: 1 deka olejku goździkowego, 8 deka wody kolońskiej, 32 deka mocnego spirytusu razem zmieszać, tego płynu dolewać po kilkanaście kropel do wody do mycia, a pozostały na skórze zapach — odstraszy komary. Równie skuteczne są pchły, których zwykle zastajemy gromady w takich prowizorycznych lokalach. Aby je wytępić, trzeba wyszorować podłogę wodą bardzo gorącą z ałunem — łóżka wysypać sproszkowanymi liśćmi miętowemi, a po kilku dniach wygina. Jeszcze przykrzejsze są pluskwy; aby się pozbyć tych wstrętnych robaków, pozakładać liście z orzecha włoskiego pod łózkami, w łózkach, w pościeli, w rogach pokoju, a wyniosą się bezwzględnie. Mrówki, które dostają się do najskrzętniej owiązanych słoików, zwłaszcza ze słodką zawartością, wytępić można w sposób następujący: wymieszać cukier z mialko utłuczonym siarką i posypać tem proszkiem miejsca, gdzie się ukazują. Gina także od zapachu terpentyny, kamfory, tytoniu, porożkładanych kawałków węgla drzewnego. Myszy boją się zapachu dzikiego rumianku (psiego), który, wysuszywszy, porozsypywać w kątach całego mieszkania. Z tych drobnych nieprzyjaciół człowieka pozostały nam jeszcze muchy, na które najlepiej wystrzegać się napuszczenia ich. Drzwi i okna otwierać tylko dodnia lub wieczorem, jeżeli pomimo to najdzie ich dużo — rozpylić rozpylaczem proszek perski w powietrzu; po chwili zaczną odurzone spadać. Trzeba je prędko zmiatać i palić, bo ożyją. Pod

nosi bardzo sumę wydatków letnich reperacja obuwia, ciągle w ruchu będącej na wsi młodzieży — aby wzmocnić podeszwy, zagotować oleju lnianego, nalewając go w naczynie takiej objętości, aby nie kipiał, gotując się — gorącym smarować podeszwy, dopóki w nie wsiąkać będzie; podwoi się wytrzymałość skóry, zwłaszcza jeżeli powtarzać będziemy tę czynność co jakiś czas. Dla utrzymania ubrań w porządku trzeba przygotować następujący płyn: 76 części benzyny, 20 części alkoholu, 1 część eteru i 1 część amoniaku zmieszać dobrze i czyścić nim wszelkie plamy kawałkiem sukna tego samego koloru, co splamione ubranie.

Niezbędnym na letnisku jest barometr; nie posiadając takowego, łatwo zrobić go samemu i to o wiele czulszy, niż przeciętne kupne. Jeżeli będzie dokładnie zrobiony, wskazówki jego nie zawiodą nigdy. Trzeba wziąć soli glauber-skiej 7 deka, soli amonjakalnej 3½ deka, saletry 7 deka, kamfory 17½ gram uciera się każdą sól z osobna na delikatny proszek, zsypuje się je razem do gąsiorka 1½ litra objętości mającego — nalewa czystą zimną wodą i wstawia naczynie do gorącej wody, aby się doskonale sole rozpuściły, poczem płyn przelewa się do flaszeczek ze szkła białego, wąskich i wysokich, lekko korkami zatkniętych tak, aby powietrze miało dostęp do środka i wystawia na dwór dla czynienia spostrzeżeń. W takim barometrze rozczyn na pogodę robi się przezroczysty, na deszcz — mętny, na odmianę zaczyna przy dnie wrzesać się i mącić — na wiatr jest czystym i jasnym, lecz nad dnem wznosi się obłoczek, na zimno — latem — na wierzchu daje się widzieć błonka z kryształkami — zimą — mnóstwo kryształów po całej butelce — na śnieg — kryształki drobne promieniste, jak śnieg. Znaczenie zmian dopatrzonych w płynie najlepiej zanotować na kartce bristolowej i umieścić przy butelkach. Często zdarza się na wsi, że kąpiącym się w sadzawkach lub stawach na łąkach przypnie się pijawka końska — nie trzeba jej odrywać, mogłaby powstać bowiem niebezpieczna rana — posypać ją solą, a natychmiast odpadnie — ukąszenie zajadynować lub obmyć spirytusem i stanowczo unikać kąpieli w zanieczyszczonych i zachwaszczonych wodach.

Skoro mowa o wodzie, nadmienię, że bardzo uważać trzeba na picie nieprzeżegotowanej lub nie filtrowanej. Mało gdzie jest czysta źródłana woda, nadająca się do użycia. Bez oczyszczenia bywa ona rozsądnikiem różnych chorób np. tyfusu. Łatwy, a doskonały spo-

sób przefiltrowania wody jest następujący: Na dno nowej glinianej doniczki włożyć sporo poskubanej oczyszczonej waty — na nią warstwę drobno potłuczonych węgli drzewnych — znowu waty — w końcu wymytego piasku rzeczno-grubą warstwę. Ustawić doniczkę nad czystym naczyniem i przelewać przez nią wodę. W ten prosty i tani sposób czyści się lepiej, jak przez drogi filtr.

Ofiarowując czytelnikom moim tę garstkę z doświadczenia zaczerpniętych wskazówek, szczęśliwą będę, jeżeli przydadzą się w małym choć stopniu do utrzymania ogólnej harmonji — w symfonji domowej.

J. S.



Konkurs na zdobienie balkonów

Zachęcaliśmy na łamach „Bluszczu” Czytelniczki nasze, żeby ozdobiły swe balkony i okna żywymi kwiatami. Jeżeli wezwanie nasze odniosło skutek, to obecnie Czytelniczki mogą się ubiegać o nagrodę za podjęte trudy.

Znane ze swej żywotności Koło Miłośników Ogrodnictwa ogłosiło konkurs na najpiękniej przybrane balkony w Warszawie i na Pradze.

Posiadacze ich powinni zgłosić na piśmie swe balkony, ze wskazaniem dokładnego adresu, na ręce W-nej Stefanowej Zielińskiej. Jerozolimska 45 m. 4. do dnia 15 sierpnia włącznie. Bliższych informacji można zasięgnąć przez telefony № 32-35 lub 136-66. Równocześnie ze zgłoszeniem należy wpłacić pod powyższym adresem albo do P.K.O. na rachunek Koła Miłośników Ogrodnictwa № 42-42, zł. 5 — (członkowie Koła zł. 3) tytułem wpisowego.

We wrześniu specjalna komisja będzie oglądała zgłoszone balkony i przyzna wyróżnionym nagrody w naturze.

Zachęcamy gorąco nasze Czytelniczki do wzięcia udziału w konkursie.

Estes.

OLIWA

Jestem bardzo daleko od polecenia wszelkich artykułów zbytku, pochodzących z zagranicy, powinniśmy przedewszystkiem wykorzystać wszystko, co mamy w kraju, a w ostateczności tylko używać artykułów importowanych. Nie wszystko jednak w codziennym życiu niezbędne kraj nasz produkuje; na przykład cytryny — musimy sprowadzać, gdyż nic mogącego je zastąpić nie mamy. Zamiast pomarańczy można zjeść krajową gruszkę, zamiast winnego gronu renklodę, ale zdrowego kwasu cytryny nic nie jest w stanie zastąpić.

Otóż takim samym, niczem nie dającym się zastąpić artykułem, jest dobra oliwa. Stawię odrazu przymiotnik „dobra”, — bo jeśli mamy różne uprzedzenia co do smaku oliwy i jej działania na delikatniejsze żołądki, to wskutek tego, że często spotykamy w handlu rozmaite falsyfikaty, z których olej sezonowy, często, jako oliwa, sprdawany lub w dużej ilości do niej dodawany, wywołuje poważne zaburzenia żołądkowe, a stanowi, niestety, składową część tańszych szprotów, norweskich i portugalskich sardynek i innych dla swej taniości tak rozpowszechnionych pospolitych konserwów. Drugi falsyfikat ogromnie często spotykany, to amerykański olej orzechowy, wyrabiany z arachidów, orzechów ziemnych, na wygląd ładny, czysty i biały, dosyć przyjemny w smaku, używany w gorszych lub mniej sumiennych restauracjach do sosów różnych i majonezów; użyty w większych ilościach, działa, jak olej rybcynowy, a zatem też jest stanowczo szkodliwy. Oliwa z prawdziwych oliwek jest tłuszczem absolutnie zdrowym i lekko strawnym, zalecanym przez lekarzy osobom o delikatnem trawieniu.

W smaku jest wyborna i w użyciu ogromnie ekonomiczna, gdyż przy smażeniu na niej ryby lub ciast o połowę jej mniej, niż szmalcu, a o dwie trzecie mniej, niż masła, wychodzi. Jeżeli dzisiaj zaczęłam pisać o oliwie, to dlatego głównie, że zaczęły się już upały, i przyszły mi na myśl całe rzesze letników, nie mogące po rozmaitych rodzimych „Trou aux canards les bains” dostać żadnego niejełkiego tłuszczu do smażenia, gdyż miejscowe gospodie wiejskie umieją robić tylko masło, źle wymyte, nie trwałe, które można zjeść z chlebem lub bułką, lecz do kuchni użyć nie sposób; jest tak mało tłuste, że skwierczy i pryska, a mięso i ryba się na niem przypala, a nie rumieni wcale. Otóż tym

nieszczęsnym ofiarom codziennych kłopotów z całego serca polecam zabranie z sobą na lotnisko parę lub więcej baniek (blaszanek hermetycznych) dobrej, gdzieś w poważnej, zasługującej na zaufanie firmie, kupionej oliwy. Nietylko przeróżne sałaty i jarzyny, na zimno przyprawione, urozmaicą codzienne menu rodziny, ale wszelkie kartofelki i racuszki, paszteciki drożdżowe i ptysie, faworki i pączki, ryby i rybki, lub nawet niektóre gatunki mięs, (naprzykład „kurczęta po wiedeńsku“) będą wybornie smakowały, niech tylko panie powierzą memu doświadczeniu i pewnej wybredności smaku. Nawet wszelkie mięsa, jak befszty-

ki, antrykoty i kotlety można na oliwie smażyć,—tu jednak trzeba nieco do zmiany smaku się przy-



zwyczać (przysmażona na oliwie cebulka sprowadza tę zmianę smaku do minimum), nie zalecam więc do mięsa oliwy, natomiast ryby i ciasta będą wyborne. Należy pamiętać, że oliwa u nas obecnie jest tańsza od średniego masła, a jeżeli przyjąć pod uwagę jej oszczędność w użyciu, to okaże się, że używanie jej przeważnie odciąży przeładowany budżet rodziny. W następnych numerach będę podawała stale po parę potraw na oliwie, zaczerpniętych z włoskiej i francuskiej kuchni, lecz starannie przezemnie każdorazowo wypróbowanych. Już posiadam dwie ogromne bańki najlepszej, francuskiej oliwy.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ROLADA Z WĘGORZA.

Można ją robić tylko z bardzo dużej ryby; używać na nią należy środkowe dzwona, cieńszą część od ogona i głowy używając na rosół lub na potrawę. Jeżeli mamy dwulokciowego węgorza, należy zeń wyciąć trzy półlokciowe dzwona, nie odejmując skóry, a tylko ją starannie oczyszczając. Z jakiegobądź innej ryby, pośledniejszego gatunku, zrobić farsz następujący: pół kilo ryby czystej, obranej z ości, przepuścić przez maszynkę wraz z dwiema wymoczonymi w wodzie kajzerkami, dużą cebulą, przysmażoną w masle i jajecznicą, usmażoną z trzech jaj, dodać kawałek masła, dwa jaja surowe, posolić, opieprzyć, utrzeć na gładką masę.

Dzwono węgorza rozłupać przez grzbiet, wyjąć ość grzbietową, (innych węgorz nie ma), posmarować grubo farszem, rościć w poprzek, jak duży zraz, okręcić mocno grubymi niciami. Ugotować smak, dodając na litr wody marchew, pietruszkę, pory, cebulę, pieprz, ziela, listka i szklanek octu, przestudzić ten smak, zimnym zalać rybę i gotować od chwili zagotowania nie mniej, jak pół godziny. Rybę się wyjmie, kładzie na deskę, przyciska drugą i niedużym ciężarem, aby się nieco spłaszczyła ta rolada. Smak się klaruje białkiem, dodając na każdą szklankę dwa listki żelatyny, i zastudza. Jeżeli rolada ma być użyta zaraz po zrobieniu (powinna jednak przynajmniej dwanaście godzin pod prasą poleżeć), kraje się ją w cienkie plastry, układa na półmiskach

i posypuje usiekaną galaretą, ubierając jajami na twardo, grzybkami, rakami,—garniturami, jakie się ma pod ręką. Jeśli marynata ma służyć czas dłuższy, układa się ją w słoje szklany i zalewa lekkim octem, przegotowanym z korzeniami, przyciska się talerzem i ciężarkiem, aby ocet był nad rybą. Smak w takim razie używa się na zupe. Marynata taka może na lodzie stać do dziesięciu dni. Podaje się do takiej rolady sos tatarski, chrzan z octem lub oliwą i ocet.

MARYNATA KLASZTORNA Z RYBY.

Mogą być na to użyte wszelkie ryby, nawet najbardziej ościste, gdyż w przyrządzonych w taki sposób rybach ości doskonale odstają i nie przeszkadzają w ich spożywaniu. Ryby, starannie oczyszczone, poprzekrawać, o ile są duże, na dzwona, głowy użyć na rosół; ryby na dwie godziny przed smażeniem osolić. Ryby utarzać w mące i smażyć na bardzo rumiano w obficie rozpuszczonej na patelni dobrej oliwie. Po usmażeniu ostudzić zupełnie i ułożyć w szklane słoje. Ugotować dobrego octu z marchewką, pietruszką i cebulą pokrajanymi w plasterki, pieprzem, zielem i paru goździkami. Ostudzić, zalać rybę, aby dobrze objęło, przycisnąć spodkiem lub denkiem, aby ocet był na wierzchu, zawiązać pergaminem i postawić na lodzie. Marynata taka latem do dwóch, zimą do trzech tygodni stać może.

SUM WĘDZONY.

Świeżego suma oczyścić starannie, osolić, jak zwykłą rybę do smażenia, dodając na ćwierć funta soli łyżeczkę saletry. Cztery dni powinien leżeć w soli, wciąż go na różne strony przewracając. Po czterech dniach ucina się głowę i wycina ość grzbietową, (jedno i drugie może być użyte na wyśmienitą zupe). Suma się kraje wzdłuż na dwie połowy, jeśli bardzo duży na cztery pasy. Wieszka się te pasy, przywiązując sznurek do ogona, na wietrze w cieniu; niech tak wisi dni trzy lub cztery, poczem obwija się rybę papierem i wieszka na dni trzy w wędzarni, (zawsze ogonem do góry) w zimnym dymie. Tak uwędzony sum stanowi wyborną przekąskę śniadaniową; może trwać parę miesięcy. Gdy już nadto wyschnie, może jeszcze być użyty do kwaśnych zup w poście.

ZUŻYTKOWANIE RESZTEK CIEŁĘCINY.

Pieczeń cieleca w galarecie. Przy pieczeniu całej pieczeni t.j. całej ćwiartki cielecej, połowę z uformowanego sosu odlać do kubka lub miseczki i zarezerwować. Podając pieczeń do stołu, przechować od niej nerekki. Oprócz tego wymoczyć przez godzin parę, zdjąć skórę pierwszą i ugotować w osolonej wodzie z octem jeden cielecy mózdzek. Pozostałą przy kości pieczeń pokrajać w zgrabne kawałki, kości zaś porąbać, zalać półtora litrem wody, dodać pietru-

szeczkę, marchewkę, listek, parę ziarn pieprzu i nieco soli. W pół godziny po zagotowaniu rosół ten zszumować, precedzić, dodać pozostały sos od pieczenia, usuwając zeń wszelkie tłuszcze, co łatwo przysjdzie, gdyż sos ten bywa zwykle zgaretowany. Na litr takiego płynu dodać jeszcze cztery listki żelatyny białej i sok z jednej cytryny. W formie ułożyć kawałki cielęciny, przekładając plastrami mózdzku i plasterkami nerek. Zalać galaretą, zastudzić na lodzie i podawać z sosem tatarskim i zieloną sałatką. Wyborne użytkowanie pozostałej cielęcej pieczeni.

Cielęcina z beszamelem. Pieczeń cielęcą, pozostałą z dnia poprzedniego, pokrajać w zgrabne plastry. Głęboki, metalowy półmisek wysmarować grubo masłem, paru łyżkami rosółu lub wody, ułożyć na tem cielęcinę. Dużą łyżkę masła zasmażyć na biało z dwoma łyżkami maki, osobno rozprowadzić po trochu trzema szklankami słodkiej śmietanki lub niezbieranego mleka; gdy sos jest gładki i gęsty, wbić weń dwa jaja, rozbite w pół szklance wody lub mleka, wsypać garść tartego parmezanu, i nie gotując go więcej, zalać nim cielęcinę. Po wierzchu osypać bułeczką tartą, zmieszaną po połowie z parmezanem lub innym ostrym serem. Na kwadrans przed podaniem wsunąć w gorący piec lub pod blachę, aby beszamel nabrał złotawego koloru. Podawać natychmiast, gdyż, stojąc, na smaku traci.

Babki z cielęciny. Cielęcinę gotowaną czy pieczoną, naprzykład, kawałki gorsze, na których się gotował rosół lub resztki pieczeni, przepuścić przez maszynkę wraz z wymoczoną w wodzie lub mleku bułeczką, której się bierze na wagę o połowę mniej, niż cielęciny. Na kilo takiej masy dodać cztery żółtka, utrzeć dobrze razem, osolić, wsypać zimą pół gałki muszkatołowej, utartej — latem dużą garść zielonego koperku. Płaski rondel wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z mięsnym farszem, włożyć w rondel i upiec babkę w dobrze gorącym piecu, aby się ładnie ze wszystkich stron zrumieniła. Wyrzucić na półmisek i podawać na gorąco z sosem pomidowym lub rumianym z cytryną czy z korniszonami — lub na zimno z provencalem czy tatarskim sosem.

Majonezik prędko z resztek pieczeni. Pokrajać na cienkie plastry pozostałą pieczeń cielęcą, trzy duże, ugotowane w łupinach i obrane kartofle i tyleż ładnych dojrzałych pomidorów.

Ułożyć wszystko, zgrabnie mieszając na talerzu lub półmisku. Żółtko z jaja, ugotowanego na twardo, zmieszać z łyżką musztardy, łyżką octu i dwoma łyżkami oliwy, wcierać, aż zbieleje, połać tem sałatkę, po wierzchu osypać usiekanym szczypiorkiem i białkiem od jaja, drobno usiekanem. Taki majonezik do wódki można zrobić w kilka minut, wstawić do gotowania jajko w chwili, gdy się zaczyna krajać mięso i jarzyny. Kartofle gotowane chyba w każdym domu zawsze się znajdują.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Kamienne słoje i garnki, a także butelki, które przez dłuższe nieużywanie nabierają z wilgoci stęchłego odoru, trzeba wygotować z popiołem drzewnym, a do butelek nalać roztworu soli hypermanganu i wstawić na noc do ciepłego pieca.

* * *

Nie wszędzie, a zwłaszcza na wsi można dostać tak zwanego papieru pergaminowego; nie każdy zaś lubi używać pęcherza do obwiązywania słoików z konfiturami, bo w gruncie rzeczy nawet najlepiej wymyty, zawsze jest obrzydliwy. Otóż najlepiej jest, zawiązawszy słoik zwykłym białym papierem, pociągnąć go dosyć grubo gumą arabską, rozpuszczoną w wodzie. Po wyschnięciu robi się bardziej nieprzepuszczalny, niż pergamin lub pęcherz.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7

KRUCZA № 32, mieszkani 3.

Telefon 102-77.

Korespondencje działu praktycznego

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Vina P.

Bardzo mi miło, żeśmy się zrozumiały. Zaobserwowanie Pani o włosach jest bardzo słuszne i świadczy o wielkiej spostrzegawczości, gdyż rzeczywiście choroba Pani polega na patologicznym przeroście gruczołów łojowych na głowie i twarzy czyli t. zw. łojotoku, który jest powodem tych wszystkich dolegliwości.

Te wszystkie rzeczy, które Pani stosowała, nie były złe, ale widocznie dla Pani za słabe. Poza tem jedynie masaż racjonalny, którego Pani mogłaby się nauczyć, w połączeniu z kosmetycznym leczeniem da dobre rezultaty. Co do nauki masażu, wystarczy parę lekcji.

Na żylak, nim go się zoperuje, radzę nosić pończochy lub opaskę gumową — w ostatecznym razie operować.

Pałuczanka.

Bardzo radzę stosować gimnastykę Müllera, podręcznik, którego łatwo można dostać wszędzie. Gimnastyka nie tylko pomoże na rozwinięcie ramion, ale wpłynie na harmonijność ruchów, na zdrowie i rozwój fizyczny. System Müllera nie jest idealny, ale napisany popularnie i, w braku innych, lepszych, daje rezultaty dobre, i jeszcze raz go polecam.

B. Osta.

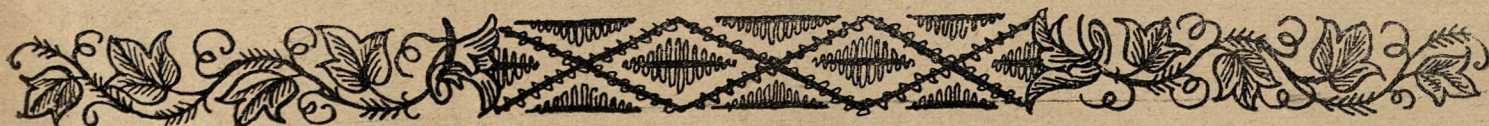
Na porost brwi niema środków pewnych.

Jadwidze.

Nie widząc włosów, niesłuchanie trudno jest dać radę skuteczną. Trzeba wyszukać przyczyny wypadania włosów, jak również czerwoności nosa. Przyczyny mogą się kryć w dziedziczności, mogą być na tle nerwowym, chorób kobiecych lub poprostu może to być odziebanie.

Podolanka.

L'oreal — jest farbą roślinną i nieszkodliwą. Sama technika farbowania jest jednak trudną, jak również dobranie odpowiedniego odcienia.



H. Wierzbina

Proszę przeczytać artykuł o pasach brzusznych, który niebawem wyjdzie. Po za tem polecam masaż i gimnastykę systemem Müllera.

M. moj. Choc.

Recepty na piegi drukować nie można, gdyż żaden aptekarz nie może zrobić lekarstwa tego bez mego podpisu. Jedyne listowna recepta może być wysłana, lecz na to muszę mieć więcej danych o pani cerze.

Na gęsią skórę pomoże mycie rąk w wodzie z sodą.

Z. woj. Sieradz.

Wszystkie pytania Pani są b. mądre, ale by racjonalnie poradzić, musi Pani być zbadana, szczególnie co do tej egzemy.

Prowincja.

List z odpowiedzią wysłany.

Łamłość Z. D.

Racjonalne farbowanie włosów po raz pierwszy trzeba przeprowadzić u lekarza specjalisty — a następnie odrastające włosy będzie mogła pani farbować sama.

Sfinks.

Włosy trzeba myć często, a przed każdym myciem na 24 godzin smarować 10% siarkową maścią.

Marysi.

Na pojaśnienie włosów doskonale wpływa zmywanie niezbyt silnym naparem rumianku, dodając na miednicę wody 4 łyżki wody utlenionej — nie więcej, gdyż większa ilość niszczy włosy i tworzy nienaturalny kolor.

Stalej czytelniczko Bluszczu.

Włosy, po posmarowaniu maścią siarkową, wypadają jedynie tylko te, które są już obumarłe. Należy smarować nie częściej, jak raz na 2—3 tygodni przed umyciem.

Jeśli Pani po maści straciła łupież, najlepszy dowód polepszenia.

Recepty na niewidziane nie wysyłam.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Opis sukien i robót do Nr. 29

506. Suknia z surowego jedwabiu Kołnierzyk biały; kokarda z barwnej wstążki.

507. Suknia z różowego crêpe de chine'u, plisowana w drobne fałdeczki. Przód biały; pasek i krawat z ciemno oliwkowej aksamitki.

508. Suknia z kreponu koloru orzechowego; pasek ciemno brązowy; kamizelka biała.

509. Kostjum kąpielowy z merseryzowanej bawełny w paseczki, wykończony plisą w odpowiednim kolorze.

510. Kostjum kąpielowy z surowego jedwabiu; motywy haftowane lub aplikowane.

511. Suknia z popielatej tafty, wykończona fiołkową aksamitką.

512. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z płócienka gładkiego i w kratkę.

513. Suknia z crêpe marecain koloru cyclamen. Żabot z białej koronki

514. Palto z sukna ciemno-brązowego. Kołnierz w formie szala.

515. Paltocik dla chłopczyka od lat 4 do 7 z sukienki piaskowego.

516. Kostjum z granatowej gabardyny, przybrany guzikami rogowymi.

517. Kostjum z popielatego sukna, przybrany guzikami z perłowej mały.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

518. Palto z sukna koloru kreciego, przybrane plisami z tego samego materiału.

519. Koszulka dla dziewczynki od lat 4 do 7. Góra z grubego tiulu, złożonego podwójnie.

520. Pyjama dla chłopczyka od lat 4 do 7 z éponge'u piaskowego, objęta brązową satyną.

521. Kombinacja dla dziewczynki od lat 5 do 7. Dół dzierzgany w ręby.

522. Kombinacja dla dziewczynki od lat 4 do 6. Góra i dół wykończone tiulem.

523. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z surowego jedwabiu. Na tle popielatym aplikacja koloru szmaragdowego.

524. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8 z „tricotine” kremowej, wyszyta barwnymi kolorami.

525. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8 z różowego crêpe de chine'u; spódniczka i falbana plisowane.

526. Motywy i szlaki do wyszywania krzyżykami.

527. Wzór na poduszkę; haft richelieu. Wielkość naturalna 37×46 ctm.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

LABORATOIRE DES PARFUMS
ET COSMETIQUES

„PERFECTION”

Varsovie, Szpitalna 10. Telefon 124 94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

ZALOTNEJ. Naturalny kolcer i świeżość nadaje ustom płyn Rosein, który ma tę wyższość nad pomadkami, że nie ściiera się, nie plami i jest zupełnie niewidoczny. Zęby będą śnieżnie białe przy myciu ich proszkiem Albol.

P. KAZ. W. Dla odłuszczenia i zmatowania cery, radzę przede wszystkim myć twarz w letniej wodzie o trąbkami Abaridowymi, a wśród dnia wycierać twarz kilka razy wodą, w której uprzednio rozpuścić pastylkę Alkaliczną. Sposób użycia pastylek jest dołączony do każdego pudełka. Tłustych pudrów stale używać nie można, do codziennego użytku najlepszy będzie puder Abarid.

WĄGROWATEJ. Twarz myć bezwarunkowo o trąbkami Abaridowymi, a wśród dnia nacierać kilka razy watą umoczoną w pureolu, który służy specjalnie do wygubienia wągrów. Pureol kosztuje flakon 3 złote, o trąbki Abaridowe pudełko 1 75 gr.

M-me Ercedès.

Środki te otrzymać można we wszystkich drogerjach i perfumerjach. Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, perfumerja „Perfection”